№ 18 WARSZAWA d. 20 Kwietnia (2 Maja) ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Wytarci. (wiersz).—O rzemiosłach dla kobiet.—Lalki, sceny przedślubne przez J. I. Kraszewskiego.—Z Ameryki, przez Sygurda Wiśniowskiego.—Korespondencja zagraniczna.—Korespondecja z Londynu.—Szkic literatury rossyjskiej z ostatnich lat dwudziestu.—Przegląd literacki.—Kiejstut i Witoldt więźniowie Jagiełły.—Życie za życie, powieść Miss Mulock, przekład Joanny Belejowskiej.—Przytem dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

WYTARCI.

Z powierzchowności do poznania trudni,
Wierni wyznawce zwyczajów i mody,
Szukają świata zgoła nieodludni,
Wielbią dostatki i onych wygody.

Twarz nie posiada typu pochodzenia,
Każda być może Galla lub Germana;
W kosmopolityzm jakiś bez imienia
Gra fizjonomji tych ludzi ubrana.

Czasami w oku gniew lub duma błyska,
Lecz częściej wzrok ich mąci dziwna trwoga,
Jakby sumienie, co się boi zbliska
Badania ludzi—i wszechwiedzy Boga.

Nie patrz w ich czyny—to cynizmu dzieje,
To poziomego samolubstwa męty;
Jak płyn w otwartem naczyniu wietrzeje,
Tak wywietrzały ich życia ponęty:

Więc za nowością gonią bez ustanku,
Małpią naturę przybrali bezwiednie,
Gotowi kulki przewracać na ganku,
Byleby nowe—zwać mądrością—brednie.

W poglądzie na świat praktyczność ich hasłem,
Oschłość niewiary rozumu znamieniem:
Policzą gwiazdy swem okiem przygasłem,
Piotra opokę rozmiażdżą kamieniem.

Tylko ujemność umysł ich spostrzega,
Sam do twórczego nie stworzon polotu;
Z próżną powagą od rzeczy odbiega,
Zgłębiając niby istotę przedmiotu;

Lecz jego szyldem pokaźnym najbardziej
Jest to ów dowcip, za którym tłum pędzi,
Dowcip, co wszystkiem pomiata i gardzi,
Jednak nie kole, nie boli—a swędzi.

Wytarci ludzie żartują i z siebie,
I z swych przyjaciół,—z mędrca i z półgłówka;
Krewnych, ojczyznę i Boga na niebie
Poświęcą radzi dla *zręcznego* słówka.

Wietrznego młyna żywym są obrazem:
Myślą ich korzyść dowolnie obraca,
A czyni w chwili i lodem i głazem,
I czułą, wrzącą, ognistą jak raca.

Gdy na cmentarzu czyjś śmiech świętokradzki
Przerazi ciebie, gdy posłyszysz żarty
U drzwi kościoła z za kwestarskiej tacki,
Śmiało rzec możesz: tam jest człek *wytarty*.

Laskarys.

O rzemiosłach dla kobiet.

Potylekroć kwestya ta była obrabianą przez myślicieli i krzykaczy, tyle zdań wygłoszonych istnieje co do tak zwanej emancypacyi, że z góry sądzić można o pewnej monotonji artykułu podejmującego ten powszechnie osłuchany temat. Ośmielamy się jednak dotknąć go, nie sięgając tym razem w szereg rozpraw, czy kobieta winna mieć jednakie z mężczyzną prawa lub nie? Nasze uwagi dotyczą jedynie faktów branych z rzeczywistości, i celu praktycznego. Otóż wymówiłam słowo, które mi się wydaje właściwem w połączeniu z każdą głębszą myślą społecznej reformy. Nie dość gładkich frazesów; nie dość gorącej filipiki przeciw niedostatkom teraźniejszego wychowania kobiet, trzeba złe wykazać, wykazane zwalczyć, a w miejsce usuniętego systemu, inny doskonalszy postawić. Będzie to prawdziwa a pożądana emancypacya—umysłów. Wiemy wszyscy już o tem, że praca nie hańbę, lecz chwałę i pożytek przynosi, że uszlachetnia jednostki, i podnosi moralny i materyalny dobrobyt społeczeństwa:—wiemy także, iż kobiety niezamożne, przy zmianie stosunków, gdy nie mogą znaleść wygodnego przytułku ani jako panny respektowe przy magnackich dworach, ni też liczyć na wiano i zamąż-pójście różnemi względami niegdyś niechybnie kojarzone, obecnie zostają w konieczności pomyślenia o własnym losie, aby nie być nikomu niemiłym ciężarem. Nikt rozsądny nie zaprzecza prawdzie powołania kobiety: straż świętości domowego ogniska, jest niezawodnie najszczytniejszem, i mającem wielkie społeczne obowiązki zadaniem, które może zeźrodkować wszystkie dążenia, i określić działalność niektórych kobiet, lecz powtarzam *niektórych*, bo nie każda, tembardziej niezamożna panienka, dostanie w życiu tę rolę, do której nie tyle jest wybranych, ile powołanych. Cóż więc należy czynić tej wydziedziczonej z dóbr ziemskich istocie, nie będącej bogatą, nie mającej szczególnej urody, nadzwyczajnych talentów, a przytem uposażonej w szlachetne uczucie i pojęcia zdrowe? Każdy odpowie: *Powinna pracować!*

I słusznie. Ale jak?.. Na dobrych chęciach im nie zbywa—pogląd jasny pod tym względem nieźle już wyrobiony, i prawie powszechnie: pragną więc pracy nasze kobiety, ale jak one pracować mają, aby z tej pracy miały owoce?.. Chodzi tu, jak wspomniałam o kobiety ubogie, dla których praca musi stanowić utrzymanie, i nie może być zabiciem czasu, chociażbynajbardziej chwalebnem. Nie mogą więc *bawić się* w pracę, ale pracować istotnie i w tem właśnie cały ogrom nierozwiązanych dotąd trudności spoczywa.

Mamy wprawdzie zakład Rękodzielniczy; Spółkę połączonej pracy kobiet; uczą się także panie nasze introligatorstwa, szewctwa, kwiatów sztucznych; lecz to wszystko razem wzięte nie zadawala potrzeb ogółu ani w jednej dziesiątej części. Nie myślę ganić dotychcza-

sowych prób na tem polu, i wytykać błędy tychże właśnie usiłowań—lecz niepodobna zamilczeć, że gdy opłata za naukę musi powodować znaczny wydatek, a później bynajmniej nie jest równoważoną przez zarobek w tym samym zawodzie, to już dla potrzebujących pracy produkcyjnej, rzecz taka jest nieprzystępną i niekorzystną. Zabawka w rzemiosło jest nie złą, bo uczy zarazem cenić wartość pracy, wyrabia dla niej pewne poszanowanie i znajomość, a w żadnym razie przynajmniej szkodliwą być nie może. Zabawka ta stała się poniekąd modną, zgoda i na to, ale dla tych co mogą się bawić bez troski o jutro, i o brak chleba powszedniego. Ale gdy zjawi się nowy taki projekt z pozorem poważnego celu, biegną tłumy kobiet znających tę troskę, co im nieraz ciężkiem brzemieniem serce przytłacza—i garną się do nauki rzemiosła, chcą poświęcić trud i cierpliwość—lecz pytają: co będzie później, kto im za pracę zapłaci i jaki rezultat z tych trudów i znoju?

— Nauczysz się—mówią np.—oprawiać książki".

— A potem co będzie gdy się nauczymy, ja i moje towarzyszki?

— Będziesz robić co ci się będzie podobało!". brzmi odpowiedź wyborna w każdym innym razie, byle nie w tym przypadku!

Później, jeśli zakłady rzemieślnicze będą dla kobiet otwarte, a ich prace stosownie do wartości wynagradzane, wybór i postępowanie, rzeczywiście będą zależyć od upodobania—czy wyuczywszy się, z tym lub owym rękodzielnikiem wejdzie w układy zdolna pracownica; lecz dziś, stojący na czele nowo-otworzonych, lub mających się otwierać zakładów rękodzielniczych dla kobiet, powinni wpierw obrachowywać korzyść uczennic niż własną, powinni stwarzać instytucye zrazu bardziej noszące filantropijną, niż przemysłową cechę. Nie wymagamy przecież jałmużny—tylko pomocy, przynoszącej istotną podwalinę przyszłych korzyści dla ogółu pracujących kobiet.

Weźmy na przykład zawód introligatorski jako jeden z odpowiedniejszych dla kobiet: gdyby się znalazł kapitał nakładowy wynoszący rs: 1000, w ręku umiejętnym, możnaby otworzyć zakład, zaopatrzony w dobre maszyny, i w przeciągu roku wyuczyć doskonale tego użytecznego rzemiosła, mniej więcej 12 zdolnych robotnic. W ciągu tego roku, płaca za obstalunki, które można odrazu przyjmować, bo mamy już w mieście naszem kilka zręcznych introligatorek, któreby prawdopodobnie zechciały należyć do stowarzyszenia, otóż płaca ta, służyłaby na zakupno materjałów, nie przynosząc wprawdzie zysku zakładowi, ale podsycając jego istnienie. Po roku, zakład miałby konieczną siłę, w zastępie robotnic, które przestając zrazu na połowie płacy, wywdzięczałyby się zakładowi za pobieraną bezpłatnie naukę, tym sposobem utworzyłoby się pierwsze źródło procentu i zarobku. Następnie, po upływie dwóch lat, każda z tych robotnic, mogłaby pobierać właściwą względnie do pracy zapłatę, bo zakład niezawodnie doszedłby *do korzyści*, a z czasem spłaciwszy kapitał pożyczony na założenie, mógłby utworzyć stowarzyszenie introligatorek, utrzymujących go o sile swej pracy niechybnie do najwyższego stopnia produkcyjnej. Zdolna introligatorka może zarobić rubla lub ośm złp. dziennie—wiemy o tem z doświadczenia, zdaje się więc, że cyfra wymownie świadczy o korzyści podobnego przedsięwzięcia.

Praca ta nie przechodzi sił kobiecych, nie przeszkadza w niczem ich powołaniu, boć i zamężna kobieta, przychodząc w pomoc mężowi w utrzymaniu domu zarobkiem rąk własnych, nie popełniałaby czynu godnego nagany. Tembardziej możemy twierdzić o tem stanowczo, widząc najdoskonalszą tego praktykę za granicą, gdzie kobieta której rodzina ma niekiedy do pięciu lub ośmiu tysięcy franków rocznego dochodu, niemniej stara się przysporzyć go własną pracą, i obiera sobie zawsze jakiś zawód, bądź to dając lekcye, bądź to kolorując ryciny, robiąc kwiaty, wachlarze, drzeworytując, i t. p. To się godnie nazywa emancypacyą, której u nas nie ma, a daj Boże! aby jak najprędzej mogła nastąpić!

Wracając do projektu zakładu introligatorskiego, słusznie przypuszczać można, że zyskałby współczucie i uznanie ogółu, bo czemuż mamy wzbogacać zagranicznych spekulantów, gdy własne siły mogą nam wystarczać? Mnóstwo pudełek, albumów, portmonetek, bonbonierek, przychodzi do nas z Wiednia, a nawet z Paryża, płacimy za nie drogo i bierzemy z pewnym szacunkiem dla staranności cudzoziemskiej. Istotnie, zasługuje to *na szacunek*, ale tego rodzaju iżbyśmy zbadawszy sposób fabrykowania tych przedmiotów, naśladowali u nas te same wyroby, i w końcu zastąpili je własnemi całkowicie. Uczmy się od nich to słusznie, ale nie poddajmy się pod wiekuiste kierownictwo, które jeszcze pieniędzmi krajowemi opłacać musimy.

Równie przystępnem dla kobiet, a mniej potrzebującem niż introligatorstwo zachodu, rzemiosłem—jest, *tokarstwo*. Widziałam sama córkę tokarza, kilkonastoletnią dziewczynkę wyrabiającą zręcznie i szybko ładne przedmioty, cacka, ramki, i t. d. Wszystkie tego rodzaju wyroby mamy sprowadzane z zagranicy, a nasze kobiety skarżą się na ciężkie czasy, brak korzystnego zajęcia, i zacofane pojęcia ogółu.

Szukajcie a znajdziecie! Spróbójcie siostry moje samoistnych kroków, wiodących do praktycznego celu, mniej rozprawiając, czyńcie więcej w cichości z dobrą wiarą, że szlachetne usiłowania w połączeniu z roztropnością i wytrwaniem, muszą zwycięztwem przynieść sobie chwałę a krajowi pożytek. Dobra wola, jedność dążeń—oto konieczne podstawy do przybytku pracy, jaki możecie wznieść własnem staraniem. W tym razie, powtarzam, zagranica może nam być wzorem, gdzie stowarzyszenia kobiet myślicielek i pracujących coraz większego nabierają znaczenia. Zapatrujmy się na niemiecką praktyczność i czeską wytrwałość—na dobrych chęciach i u nas nie zbywa. Niemi też proszę tłomaczyć te kilka słów które wyrzekłam w ważnej kwestyi. Nie wyczerpały one przedmiotu, lecz kierowałam się zasadą, którą najgoręcej mym siostrom polecam:

Czyń każdy w swojem kółku co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.

Marya Mirecka.

LALKI.

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

Więcej na ten raz Stryj wymagać nie mógł. Ażeby rozmowę z tego drażliwego sprowadzić tematu, spytał czy Lola chce powracać tegoż dnia do Gromów.

— Muszę, kochany hrabio, odpowiedziała żywo, mam gości.

— Jakto! jeszcze gości? zdumiony odezwał się Hrabia.

— Tak jest, moją dawną koleżankę z pensyi, przyjaciołkę najlepszą...

— A! tak! panią Grzegorską, przerwał Hrabia, lecz któż drugi?

— Daleki krewny nasz, synowiec Kapitanowej.

— Ale ten przynajmniej nie powinien się liczyć do gości, odparł z uśmieszkiem Hrabia, ma to być wcale pospolity człowiek, ubogi, bez wychowania.

Lola się zapłoniła, oczy jej podniosły się i padły mimowolnie na Romana, jakby go oskarżały o tę złą opinję o panu Adolfie. Młody hrabia uczuł to i zmięszał się nieco.

— Nie wiem, kto go tak hrabiemu odmalował, odezwała się Baronówna. Człowiek jest w istocie inaczej niż my, ale bardzo starannie wychowany, nie dostatni może, lecz też nie biedny i wcale miły.

Starzec spojrzał zdziwiony.

— Wygląda jakoś oryginalnie, rzekł.

— Nie zbyt się stara o powierzchowność, dodała Baronówna, to prawda.

— Cóż to! długo ma zabawić w Gromach?

— Nie wiem, ale radabym go zatrzymać, widząc jaką to czyni Kapitanowej przyjemność.

Zamilkli.

— Do tych gości musi zaraz przybyć Roman, cicho dodał Hrabia, bo go wyprawię, aby się lepiej dał poznać. Sądzę, że inni goście z sąsiedztwa nasyciwszy ciekawość, nie będą natrętni...

— W istocie to był prawdziwy najazd, ośmielił się wtrącić hr. Roman, co tylko miała okolica młodzieży, wszystko to wysypało się do Gromów...

Staremu błysnęły oczy złośliwie.

— Szkoda, począł jakby rozbudzony, że mnie nie prosili abym ich rekomendował, miałbym zręczność dobre słówko o każdym powiedzieć, bo to wszystko dobrzy znajomi...

Któż był? pewnie Ildefons hr. Bramiński z mamą, którą ja jeszcze panną pamiętam... A! ciężko jej ciężko nosić ten tytuł, jakiego się wcale nie spodziewała... P. Ildefons ma wiele przymiotów, ale skrytych, bo ich nikt nigdy odkryć nie może... Musieli być Dambscy? Z papą?

Prawda? ojciec i syn, Godni ludzie, oryginalni, bo ojciec wydaje się od syna młodszym... Nie zdziwiłbym się, gdyby się puścił w konkury?

Myślę że Baronówna poznała i Pniewskiego z Pniewa z jego propinacyjną sławą i Rębaczewskiego, postrach naszych ogrodów i pana Modesta który tak jest czynny, że nigdy nic zrobić nie miał jeszcze czasu i Bończę z jego końmi i chartami.

Stary widocznie się rozpalał, mówiąc o sąsiedztwie.

— Wszystko ludzie godni, dodał, nieszczęśliwi tylko, na ruinach, na długach, na nadziejach oczekujący z niebios posagu i panien... Hrabina Bramińska pości od lat dziesięciu na tę intencję: hr. Dambski co rok zjeżdża na wieś zobaczyć czy syn jego nie przestał poziewać i wzdychać... A! godni, mili, nieoszacowani...

Jakżeby radzi podchwycić mojemu synowcowi narzeczoną. Jaki to tam być musi apetyt na Gromy!..

Złośliwy ten wybuch wprędce wyczerpał starego Hrabiego. W ciągu mowy twarz mu się zmieniła, czułość na niej i wzruszenie znikły, nielitościwy sarkazm ją okrył. Baronówna słuchała z jakimś przestrachem i zdziwieniem. Inna strona tego człowieka nagle odsłaniała się przed nią, gniew wewnętrzny ją obrażał.

Ten co przed chwilą był samą miłością i rozumem chłodnym, stał się niemal namiętnym i zajadłym. Jak gdyby odgadł wrażenie które uczynił, nagle wstrzymał się hrabia Filip, ręką wychudłą powiódł po czole, zakaszlał się, oczy zamknął—potrzebował spoczynku po tym wysiłku wyczerpującym.

Skinął na Romana.

— Proś Pęklewskiego, rzekł, aby mi przysłał le-

karstwo, i każ dawać do stołu... Ja nie jem z wami, ale mojemu drogiemu gościowi towarzyszyć będę do stołu... aby nań dłużej popatrzeć.

Wkrótce Pęklewski, we fraku już, ukazał się z flaszką, łyżką i niespokojną twarzą, hrabia połknął podany mu napój, drzwi się otworzyły i ukazała sala jadalna.

Starym obyczajem była ona razem portretową. Po rogach stali czterej rycerze we zbrojach, na straży tej galeryi przodków, okrywającej całe ściany. Przepyszny gobelin zajmował część jedną nie zajętą niemi.

Stół był zastawiony z przepychem, okryty srebrami, choć obiad przygotowanym był tylko na cztery osoby, a jedna z nich wcale go dotknąć nie miała, bo stary Hrabia jeść nie mógł, i Lola też straciła apetyt po rozmowie. Kapitanowa tylko podziwiając kuchnię francuzką Pruhowa, jadła spokojnie za wszystkich. Gospodarz i delegowany przezeń mistrz ceremonii hr. Roman, usilnie się starali aby przy tej zręczności okazać na jakiej stopie dom miał być utrzymywany. Hr. Roman zajmował się sam oznaczeniem prawidłowego porządku w podawaniu win, których nikt nie pił. W srebro oprawne kartki z programami obiadu, drukowane po francuzku, leżały przed gośćmi. Nie brakło nic choćby na przyjęcie koronowanej głowy.. Służba szła szybko, cicho, zręcznie i z pożądanym szykiem.

Dla Loli zamyślonej, roztargnionej, usiłującej napróżno twarz weselszą okazać opiekunowi, wszystko to było straconem. Ocenić tego nie umiała, choć we wszystkiem lubiła elegancyę i wytworność.

Hrabia, świeżo po lekarstwie, wyczekać musiał do końca obiadu, nim mu filiżankę bulionu wypić było wolno. Uczta przeszła jakoś smutnie, podano kawę czarną a służba Baronównej zawczasu odebrawszy rozkazy, pośpieszyła z przygotowaniami do odjazdu i powóz stanął przed gankiem.

Hrabia usłyszał tentent i odgadł co znaczył, pośpiech ten dotknął go widocznie, posmutniał, wpatrzył się w twarzyczkę pupilli jakby ostatni raz widział ją w życiu i chciał nią oczy nasycić.

— Śpieszycie się bardzo, rzekł cicho.

— Musimy, kochany opiekunie, odparła Lola, która już nakładała rękawiczki i zmęczona znać pragnęła spoczynku i samotności. Po chwili wstała dla pożegnania Baronówna... Hrabia siedział blady w swem krześle.

— Któż wie czy się jeszcze zobaczymy, rzekł cicho, moje godziny policzone... mam nadzieję, ale pewny nie jestem czy dożyję chwili co mi da spokój. Pozwól bym stary pobłogosławił ci, podziękował. Spojrzał jej w oczy przez łzy, które mu zwilżyły powieki, Lola wzruszona pochyliła się ku niemu.

— Bądź co bądź, niech ci Bóg w życiu błogosławi, jak ja błogosławię, powinnaś być szczęśliwą...

Po chwili milczenia wstała Baronówna, doktór się znalazł przy Hrabi, hr. Roman śmielszy po kilku wina kieliszkach, podał rękę narzeczonej, aby ją do powozu odprowadzić, odmówić jej nie obrażając opiekuna nie mogła, poważna i ostygła już przeszła salę nie mówiąc słowa. Nieczujska za to żegnała się śmiejąc, jakby czuła się w obowiązku trochę wesela rzucić na tę scenę zbyt żałobną i smętną.

Lola rzuciła się w głąb powozu, odetchnąwszy swobodniej, konie ruszyły...

Fotel hrabiego, którego głowa na piersi opadła, przesuwali już służący do sypialni, szedł przy nim Pęklewski. Stary nie mówił słowa, zdawał się pogrążony w myślach i jakby chwilowo nieprzytomny, co przypisać było można zbytniemu wysiłkowi dnia tego, Pęklewski nalegał, aby Hrabia szedł zaraz do łóżka, co też wykonanem zostało.

Parę razy spojrzał na Romana, który powrócił i nie mówiąc nic zabierał się do spoczynku.

Roman z doktorem wyszli do pierwszego pokoju, ostatni był mocno zakłopotany, tarł włosy i stękał.

— Lękam się, rzekł po cichu do Romana, abyśmy dzień ten nie byli zmuszeni opłacić zbyt drogo. W takiej chorobie wszelkie niezwyczajne wzruszenie, wysiłek, może za sobą pociągnąć bardzo złe skutki. Hrabia ma olbrzymią siłę ducha, ale i to się wyczerpuje.

— Byłożby jakie niebezpieczeństwo? zapytał Roman trochę przestraszony. Pęklewski poruszył ramionami.

— Dotąd go nie ma, ale co się do jutra stanie, za to ja ręczyć nie mogę...

To mówiąc padł na krzesło i zamyślony wsparł się na ręku.

Hr. Roman uspokoił się i w tej chwili przypomniał sobie, iż w pośpiechu po tym uroczystym obiedzie wody ze skórką cytrynową do popłukania ust dać zapomniano.

To uchybienie wymagało surowego skarcenia, jakoż się udał niezwłocznie do kamerdynera, aby śledztwo przeprowadzić o wypadku, który mógł honorowi domu uczynić uszczerbek, gdyby został rozgłoszony.

Nazajutrz po tym dniu pamiętnym, rano bardzo zbudził D. Pęklewski śpiącego i owiniętego systematycznie w kołdrę, z pierzynką edredonową na nogach hr. Romana.

Ponieważ zwyczajem było, iż go budził excytarz o naznaczonej porze, Roman przetarłszy oczy, dorozumiał się zaraz, iż coś niezwyczajnego zajść musiało. Stojący przed nim blady Dr. Pęklewski, kazał się domyślać, iż chodziło o stryja.

— Jak że się ma hrabia? zawołał...

— Ma się źle, rzekł sucho dosyć doktór, wstawaj pan, życzy się widzieć z nim.

— Cóż to hrabiemu?

— Puchlina postępuje do góry, jest źle, jest bardzo źle, od wczoraj pogorszenie ogromne, tracę nadzieję wszelką, powinniśmy się przygotować na to co najstraszniejsze...

Zmieszany Pęklewski zaledwie mógł mówić. Nie mniej przerażony Roman ubierał się żywo, zapomniawszy ten raz o wszelkich prawidłach i stopniowanych ablucjach. François, który szczęściem nadbiegł, pomógł mu do odziania się przyzwoitego, o którem nie myślał.

Była godzina piąta rano.. dnieć zaledwie poczynało. W pałacu panowała cisza jakby przedgrobowa, ludzie wszyscy byli na nogach, ale chodzili jak cienie... Z jednego okna sypialni przez zielone firanki blade przeglądało światełko.

Tam czuwała resztka życia...

Gdy Roman wszedł z doktorem, Hrabia chciał się podnieść z poduszek, poruszył głową, ale już dźwignąć jej nie mógł, ręka jego z niepokojem właściwym konającym, poruszała się chwytając bezmyślnie co pod nią podpadło.. Głos który się dał słyszeć był osłabły i zgasły...

— Siadaj przy mnie, tu, rzekł do Romana, com przewidywał to się stanie. Źle jest ze mną.

Popatrzał na niego niespokojnie.

— Mój Romanie, co się stanie z tobą? Trzebaż bym nawet nie dożył tego wesela? Cóż teraz będzie, co będzie, gdy mnie nie stanie.

Z politowaniem i niepokojem wlepił w niego oczy...

— Któż wie? szepnął jakby sam do siebie, może by lepiej było żebym cię był zostawił przy rodzicach i dozwolił im wychować własne dziecię?

Pęklewski zbliżył się do łóżka.

— Proszę, zaklinam niech się hrabia uspokoi, rzekł, nie ma nic groźnego słabość już była kilka razy na tym stopniu.

— Alem ja się nigdy nie czuł tak osłabłym, tak niespokojnym, tak źle, odparł cicho stary. Gorzej jest, doktorze, niż kiedykolwiek było.. Oczyma powiódł i zażądał aby go podniesiono z poduszkami, oddychać coraz ciężej było... Widocznie śpieszył się mówiąc, jakby obawiał, że mu czasu zabraknąć może.

— Wszystko jest w porządku, mówił schylając się ku Romanowi na pół osłupiałemu, testament mój w sądzie złożony, papiery zregestrowane... Ślub trzeba przyśpieszyć, nie zważając na żałobę...

Pogrzeb także...

Tu obejrzał się hrabia niespokojnie, skinął na synowca i szepnął mu do ucha głosem ledwie posłyszanym:

— Ojcu dasz znać później, nie trzeba ażeby się tu pokazywał, to by ci zaszkodzić mogło mnie też i pamięci mojej. Pojedziesz do nich jeśli zechcesz.

Ręką przeciągnął po twarzy.

— Księdza! Księdza! zawołał nagle...

— Panie hrabio, spokoju! spokoju! powtarzał Pęklewski podając lekarstwo jakieś ręką drżącą. Chory wypił je i zdawało się że podziałało nań. Zamknął oczy, odetchnął lżej... ręce opadły nieruchome, piersi poruszały się zwolna.

Do poblizkiego probostwa pobiegł ktoś dać znać wikaremu, który sam tylko był w domu. Szczęściem ksiądz już wstał był i niedługo zjawił się we dworze. Hrabia zdawał się usypiać, lecz obudził się odgadując przybycie wikarego, którego przywołać polecił.

Dr. Pęklewski trochę był przeciwnym przypuszczeniu go, obawiając się wrażenia, lecz rozkazowi wyraźnemu uledz musiał. Spowiedź trwała krótko... ostatni obrzęd odbył się z przytomnością zupełną, lecz po nim Hrabia znowu skarżyć się zaczął na duszenie, kazał podnosić poduszki i tak siedząc drzemał znowu.

Hr. Roman wyprowadził Pęklewskiego do przedpokoju.

— Mów mi pan, czy istotnie jest tak bardzo źle?

— Hrabia do jutra nie dożyje, odparł doktór, niemożna się łudzić, wszelkie środki podtrzymania życia daremne.

Milczący powrócili do łoża umierającego, który to usypiał, to budził się oglądając na Romana, a ilekroć go ujrzał, jakby zgryzota mu dokuczała, zamykał oczy wzdychając.

Stan taki trwał do wieczora, nadeszła gorączka i chory stracił przytomność. Kiedy niekiedy wyrywały mu się z ust wyrazy dziwne, dowodzące że przez głowę osłabłą, przesuwały się marzenia z całego życia przypomnień.

— Oświecić salę, wołał... wdziać wielkie liberye... żeby mi było po pańsku... Zdjąć z niego kalkulacyą szczelnie.. rachunki są fałszywe. Pięćdziesiąt tysięcy czystego zarobku... Roman niech się uczy po angielsku... Brat mi tego za złe nie weźmie, uczynię szczęśliwym... To córka moja... to jej córka... jaka do niej podobna... tak jak ona smutna... niech zaraz do ślubu stają, zaraz... Ona go poprowadzi, jestem spokojny...

Je suis le Comte Zebrzydowski!

Kto przeczy? Zabiję. Wasza Ekscellencya raczysz przyjąć hołdy moje...

Urywane, bez związku wymykały mu się z ust te wyrazy przeplatane śmiechem i westchnieniem, w ostatku usta już tylko poruszały się bez głosu.. oddech to ustawał, to wybuchał gwałtownie walcząc z sił ostatkiem z ugniatającym go ciężarem, śmiertelna bladość pokryła twarz... oczy się zamknęły. Hrabia Filip Zebrzydowski nie żył.

Dr. Pęklewski który stał przy łóżku, powolnie przycisnął na pół otwarte powieki. Roman stał osłupiały długo, musiał go odprowadzić do jego mieszkania. Tu, dziedzic Pruhowa padł w fotel, aby siły odzyskać i powrócić do przytomności. W pałacu spodziewany zgon Hrabiego nie wywołał żadnego poruszenia, wszystko zawczasu przygotowane było n

wypadek pogrzebu. Nie miał się więc nawet czem zajmować hr. Roman oprócz żałoby, którą natychmiast przywoławszy François rozporządził, jak być miała urządzoną.

Nie wiedząc nawet o woli stryja, postanowił własnym domysłem pogrzeb uczynić jak najwystawniejszym, chociażby miał jak najwięcej kosztować.

W tem zresztą zgadzał się z nieboszczykiem, który podobneż zawczasu wydał rozkazy. Doktór zresztą wyręczał czynnie hr. Romana przypuszczając iż mu za to wdzięcznym być musi, że go zastąpi w chwilach, gdy wzruszenie nie dozwalałoby pomyśleć o niezbędnych drobnostkach. W kilka godzin jednak młodzieniec pełen rozsądku i mocy nad sobą, już się sam począł troszczyć o spełnienie obowiązków, jakie nań wkładała śmierć stryja. Głowa jego pracowała nad tem głównie aby w ceremoniale pogrzebowym nic nie było opuszczonem czego tradycya, zwyczaje i sława wielkiego domu wymagały...

Przypomniał sobie, iż przyzwoitość kazała wystylizować *letres de faire part*, które służyć razem miały za zapraszające listy pogrzebowe. Sam więc siadł do redakcyi tego aktu historycznego, i ułożywszy go zadzwonił, aby mu przywołano Pęklewskiego. Szło o to, ażeby w najbliższem miasteczku w drukarnię i litografję zaopatrzonem, jak najdystyngowańszym smakiem wykonano, co najrychlej listy.

Pęklewski akomodujący się niezmiernie wziął to na siebie.

Lecz nie dosyć na tem było, to co miało służyć dla wszystkich, nie mogło być użytem dla przesłania żałobnej wieści do Gromów. Uczuł hr. Roman że szczególny stosunek w jakim się do narzeczonej znajdował, obowiązywał go do własnoręcznego listu. Ani się z nim też opóźniać godziło. Siadł natychmiast do rozwiązania zadania, które w pocie czoła udało mu się z zachowaniem form wszelkich, wygotować na czysto w przeciągu niespełna godziny.

(d. c. n.)

Z AMERYKI

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Wysokie ceny przewozu i przejazdu na złe urządzonych drogach, zwracają niemniej uwagę ogólną jak sprawy polityczne. Rozmaite sposoby wymyślamy, by złamać potęgę towarzystw tak obciążających ziemiopłody nasze wysokim frachtem, że z dwóch miar posłanych do portu, cena jednej wpływa do kieszeni monopolistów.

Pomiędzy licznemi projektami przeszkodzącymi podobnym nadużyciom, sypiącemi się jak z rękawa, najpraktyczniejszą radą byłoby ścisłe wglądanie w rachunki kolejowe, obliczenie ile budowy ich rzeczywiście kosztowały i przestrzeganie taryfy prawem ustanowionej. Każde towarzystwo otrzymało znaczne grunta z warunkiem, by nie oznaczało wyższej ceny od mili drogi jak wystarcza na płacenie miernej dywidendy. Skradłszy połowę kapitału wypada podwoić fracht, chcąc płacić dywidendę od całego, jaki niby na budowę użyty został, obliczając zaś ile kolej kosztowała rzeczywiście i ile dochodu przynosi, łatwo ustanowić taryfę, dającą procent od włożonego kapitału. Towarzystwa nie stosujące się do tej zasady, mogą być prawnie zmuszone do zwrotu ziemi wyłudzonej od Rzeczypospolitej fałszywemi przyrzeczeniami miernej taryfy.

Niemniej obfite środki zaradcze przeciw ogólnej ruinie finansowej snują cię w naszych głowach. Świętej pamięci Stańczyk przekonałby się, że w obecnym wieku więcej mamy finansistów jak doktorów nawet. Od prezydenta do hreczkosieja każdy z nas nosi się z projektem ożywienia kredytu i podwyższenia cen produktów trudnych do sprzedania dla braku pieniędzy.

Większość tych mędrców zapomina jednak, że chcąc mieć kredyt na zaciąganie nowych długów, wypada stare spłacić i że łatwość z jaką sprzedawaliśmy dawniej nasze produkta za wygórowaną cenę, pochodziła nie ze zbytku pieniędzy, lecz iż kupowano je od nas na kredyt, dając przyrzeczenia wysokich procentów za nasze wyroby. Od czasu Lawa nadużycie jednakie wywoływało skutki i po krótkiej hulance na kredyt, następują długie lata ciężkiej pracy.

W kraju tak obfitym w zasoby, z ludnością energiczną i roztropną, droga pracy o wiele łatwiejsza i nie wątpię, że skoro ogół narodu porzuci gonienie za łatwym zyskiem, a pomyśli szczerzej o powolnem oszczędzaniu, zapomnimy wkrótce o biedzie. Póki jednak zachęcamy prawami, by człowiek, który zbudował przędzalnię mógł sprzedawać towar swój za dwa razy wyższą cenę jak zagraniczny fabrykant, zachęcamy każdego kapitalistę do wycofania swej gotówki z innych spekulacyi i budowania przędzalni. Czy on czy Anglik dostają bawełnę za tę samą cenę: jeżeli więc Anglik zyska milion dolarów ze swych wyrobów w przeciągu lat dziesięciu, on w pięciu latach zostanie miljonerem. Ludzie ci zapominają, że plantacye dostarczające bawełny ogołocone z kapitału lub płacące lichwę upadną wkrótce. Brak surowego płodu wnet znowu zmusi ich samych do zamknięcia warsztatów i rozpuszczenia robotników. Massy bez zajęcia i chleba poczną przebiegać ulice Nowego Yorku i Chicago i domagać się podziału własności. Sceny takie wydarzyły się tej zimy w rękodzielniczych miastach Ameryki. Zarząd miejski w sposób europejski posłał 100 policyantów z pałkami, aby rozpędzić tłumy radzące nad napełnieniem żołądka cudzym kosztem. Stoczono walną bitwę w której konstable odnieśli trzy guzy a kilku radzących dostało się do kozy. Tryumf władzy byłby zupełny, gdyby nie mały paragraf konstytucyi, pozwalający nawet socyalistom i komunistom na zbory w parkach lub innych miejscach publicznych, byleby ci nie targali się czynnie na cudzą własność. Bezprawnie rozpędzeni robotnicy dowiedziawszy się o paragrafie, uświęcającym mityngi wszelkiego rodzaju, wytoczyli władzy proces, żądając zapłaty za doznaną obelgę. Naród cały, choć drwiąc z komunistycznych mrzonek, nazwał wystąpienie władzy bezprawiem godnem Francuzów.

Podczas gdy w Nowym Yorku rozpędzano socyalistów, w Waszyngtonie, zaproponowano krok bardzo komunistyczny, bicia nieograniczonej liczby assygnatów czyli greenbaków na zaradzenie brakowi pieniędzy. Niedowarzone głowy finansowe tamtejsze, nie widzą innego środka na zwiększenie kapitału narodowego, jak puszczenie w obieg papierków zastępujących gotówkę. Straciwszy swe mienie przez szalone spekulacye i zadłużywszy się u poczciwych ludzi w taki sposób, że już więcej pożyczać nie mogli, chcieliby teraz kosztem państwa się ratować.

Spekulanci mający płody kupione na kredyt pozbędą się ich za dobrą cenę i spłacą wierzycieli bankotami, których wartość o tyle musi być mniejszą o ile ich więcej w obiegu. Kredyt państwa ucierpi, właściciele kapitałów już istniejących zubożeją, o tyle o ile ażio pójdzie w górę, lecz komuniści salonowi, zwani w naszym stuleciu giełdowcami, zbiorą obfite żniwa. Nie wiem kto bardziej zasługuje na skaranie policyjne, czy głodny zabierający bułki piekarzom, czy spekulanci nowożytni, wiecznie prawiący o porządku, a rabujący miliony publiczne.

Którykolwiek z galicyjskich czytelników przeczyta list niniejszy i zastanowi się nad stanem Ameryki zawoła zapewne: *tout comme chez nous*! Koleje czerniowiecko-Lwowska i *Ostbahn*, matactwa Rejchsrathowe, ruina giełdowa i handlowa, wołanie o mnożenie bankrutów, wszystko to widzieliśmy niedawno w Austryi, a dziś widzimy w Ameryce. Bo też w istocie Niemcy austryjaccy naśladowali tylko Yankesów. Jak innym niemcom tak i im zbywa na oryginalności, za to też umieją doskonale wyzyskiwać i naśladować pomysły wynalazców.

Pod pozorem utrzymania jedności monarchii, połączyli się w falangę polityczną i uzyskawszy ster rządu, opodatkowali niezbędne nam towary na korzyść rękodzielników wiedeńskich, odzierali nas monopolami kolejowemi, okradali naszych akcyonarjuszów za pomocą wyrodków, noszących hrabiowskie i książęce tytuły, słowem gospodarowali tam jak tutejsi republikanie.

W obu państwach bankructwo giełdowe i handlowe oburzyło ludność, dającą się kierować przez ludzi bez czci i wiary. Oby nauka ta nie poszła w pole i posłużyła ku zgubie giełdowców niemieckich, jak zgubiła amerykańskich.

Przy ocknięciu się naszej ludności, projekta mnożenia banknotów i napełniania kieszeni salonowych komunistów potem narodu, spełzną pewno bez owocu. Rozsądniejsi senatorowie podali przeciwny środek pomnożenia kapitału krajowego żądając, by państwo wycofało papiery z obiegu, spłacając je zwolna złotem i srebrem.

Kraj nasz mianowicie zaś Kalifornija, wydała w przeciągu ostatnich lat 20 tyle miljardów złota, ile wynosi kontrybucya francuzka. Prawa protekcyjne zatamowały przywóz zagraniczny, złoto zatem nie powinnoby opuszczać Ameryki lecz spoczywać w bankach i szkatułach bogaczy.

Tymczasem ani rząd nasz, ani banki, ani prywatni nie mają złota. Gdzież więc poszły miljardy nasze? Dla czego gdy ma Francya tyle brzęczącej monety w banku narodowym, my nawet zdawkowego srebra nie posiadamy?,

Gotówka przeszła najpierwej do kieszeni protegowanych monopolistów. Co górnik wykopał, a rolnik uciułał, zabrał fabrykant, wzbogacający się ich kosztem. Gdy górnik i rolnik używał drogich i złych narzędzi, przepłacał za liche sukna, fabrykant sprowadzał zagraniczne zbytki lub hulał z żoną w Paryżu i nad Renem. Kilkadziesiąt tysięcy wschodnich rodzin wywozi corocznie tyleż miljonów z kraju. Statystyka zatem podróżna amerykańska tłomaczy całą tajemnicę zniknięcia gotówki.

Najdziwniejszym objawem ocknięcia się zdrowej części ludu amerykańskiego, jest bractwo g u m i e n n y c h (grandżerów) urządzone prawie zupełnie na sposób wolnych mularzy i choć od roku ledwie uorganizowane liczy dziś już milion członków.

Uwzględniając dążność wieku bractwo to zasila się członkami płci obojga, przyzwala niewiastom głosować z mężczyznami i piastować godność mistrzów. Trzy panie znane publiczności pod allegorycznemi nazwiskami Ceres, Flora i Pamona wespół z w i e l k i m g u m i e n n y m, zarządzają stodołą narodową, wydając rozkazy wszystkim podrzędnym lożom.

(d. c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

Z Poznania.

U nas ciagle smutno i chmurno do czego najwięcej przyczynia się upadek *Tellusa*, który zachwiał byt materyalny księstwa. Znacie straszny ten przebieg na którym cięży złorzeczenie, ponoszących straty nieobliczone. Nieszczęścia te kryją dotąd jeszcze nieprzejrzane zasłony. Oby rychło jaśniej rozpatrzeć się można, oby rychły nastąpił koniec, bo straty z dniem każdym zwiekszają się i zagrażają zgubą interesantom. (1)

Niedole, jakie przygniotły księstwo, spowodowały, że karnawału nie było wcale. W dwóch, trzech domach, gdzie mają córki, tańczono na niezbyt licznych wieczorach, i to wszystko. O żadnym publicznym nie śniło się balu—co znowu przyniosło straty kupcom i magazynom mód. Życie towarzyskie w ogóle w małych tylko skupia się kołach, gdzie bawią się muzyką, preferansem i w piśmienne *zapytania i odpowiedzi*, wywołujące dowcipek nie jeden. A winniśmy tu szczegółowo wspomnieć o wieczorach tygodniowych, niedzielnych, u hr. Mieczysławów Kwileckich. Zbiera się tam obywatelstwo wiejskie i inteligencya nasza. Wieczory te przypominają wieczory warszawskie, a z czasem rozwiną się zapewne i pod każdym względem rozleglejsze przybiorą rozmiary; domu takiego był brak wielki w Poznaniu.

Prelekcye publiczne posiadały zawsze wielu słuchaczy, a więcej jeszcze słuchaczek. W pałacu Działyńskich miał ks. Likowski ośm odczytów o kościele ruskim. W Bazarze na dochód zakładu Elżbiety, mieli prelekcye: profesor Marcelli Matty o dziełach Chataubriand'a; pan Józef Kościelski *o ogólnych zarysach bogoznawstwa Egipcyan*; profesor W. Jaróchowski o Machiavellu; Dr. Kusztelan *o elektrycznych zjawiskach*; profesor Warnka o ostatnim trybunie Rzymu *Calla Rienzi*.

W towarzystwie przemysłowem wyłożył ks. Chatkowski, licencyat rzecz zajmującą i naukową *o Myszeidzie* Krasickiego. I bywały prelekcye pouczające, wykłady nader przystępne, do praktycznego zastosowane życia. *W Towarzystwie Przyjaciół nauk* odczytał pan Stanisław Koźmian nader interesującą rozprawę: Pogląd na literaturę zagraniczną z r. 1873: sprawozdanie o najnowszej literaturze Anglii, Francyi, Niemiec, Włoch, Hiszpanii i Szwecyi.

Dnia 21-go odbył się na sali Bazarowej koncert na dochód *Towarzystwa Pań Miłosierdzia*— urządzony staraniem hr. Mieczysławowej Kwileckiej. Uświetniła go grą swoją artystyczną na fortepianie księżna Czartoryska, jedna z najpierwszych uczennic Szopena. Śpiewała hr. Izabella Węsierska-Kwilecka, której głos piękny, metodę i szkołę już uwielbialiśmy nieraz. Grał na wiolonczeli utalentowany p. Zygmunt Cieszkowski, a pan Bolesław Dembiński, znamienitej nauki i talentu kompozytor wykonał na harmonium jednę z pięknych dumek utworu własnego. Dochodu było przeszło 900 talarów.

Ś. p. Seweryn i Franciszka Mielżyńscy na Miłosławiu, mianowali jeneralnym spadkobiercą i wykonawcą ich woli hr. Józefa Mielżyńskiego z wna syna ś. p. Macieja. Poruczenie tej ich woli nie mogło w zacniejsze dostać się ręce. Dobra Miłosław ze wsią Chrustowo przeznaczyli na założenie *szkoły rolniczej* po umorzeniu ciążących na tychże dobrach listów zastawnych. Aż do tej pory będzie połowę dochodów pobierał hr. Józef a druga połowa utworzyć ma kapitał, który użytym zostanie na pierwsze potrzeby szkoły. Po otworzeniu tejże, służyć będzie hr. Józefowi roczny dochód w ilości 5000 tal. i nadzór szkoły. Prócz tego poczyniła ś. p. Franciszka hr. Mielżyńska liczne legata, tak publiczne jako i prywatne.

Mało zapewne wiadomem wam jest, o zawiązaniu u nas Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt polskich w W. Ks. Poznańskiem. Celem jego jest jak sam tytuł objaśnia, dopomaganie niezamożnym dziewczętom w kształceniu się do zawodów praktycznych rękodzielnych, przemysłowych, naukowych, artystycznych itp. Fundusze zbierane są przez dobrowolne składki, i z opłat wnoszonych przez stałych członków. Na stypendya przyjmowane są tylko dziewczęta nieposzlakowanej moralności, umiejące już co najmniej dobrze czytać, pisać i cztery działania, i mające nie mniej lat jak 16 a nie więcej jak 28. Uczennice przyjmowane są na kucharki, praczki, ochroniarki, wiejskie gospodynie, krawczynie, modniarki, szmuklerki, introligatorki, bony, buchalterki, kasyerki sklepowe, na wyższe nauczycielki, muzykuski, rzeźbiarki, malarki i rysowniczki.

Przyjmowanie na stypendystki, odbywa się w miarę wakansu i według daty zrobionego podania, wydatki zaś na nie stosownie do zamożności, albo Towarzystwo ponosi w całości albo w pewnej części. Dyrekcya składająca się z dziesięciu osób, odbywająca posiedzenia przynajmniej raz na dwa tygodnie i wszystkie postanowienia rozstrzygająca większością głosów, stara się o zawiązywanie odpowiednich komitetów na prowincyi, każda zaś z pań należąca do dyrekcji przyjmuje pod swą opiekę pewną liczbę uczennic; czuwa nad ich postępowaniem i zajmuje się ich umieszczeniem.

Z Towarzystwa tego, które dopiero rok trzeci istnieje, wyszło już kilkanaście dziewcząt, usposobionych do zawodów różnych. Ale niestety! zbawienne to przedsięwzięcie walczy ze zwykłą w naszych czasach chorobą: z brakiem funduszu! Z tego powodu zaledwie drobna część zgłaszających się kandydatek przyjętą na stypendya została. Obecnie jest dwadzieścia uczennic na funduszu Towarzystwa. Jedna zgłosiła się na dentystkę, lecz dotąd dla braku funduszów nauki nie rozpoczęła. Liczba kandydatek do różnych zawodów przechodzi rocznie sumę stu, co przekonywa, jak na czasie Towarzystwo założonem zostało.

Teatr nasz, jedyną a miłą dla nas staje się rozrywką. I zasługę ma dyrekcya niepoślednią, że go podtrzymuje z ofiarnością pewną bo i niejedno ma do zwalczenia. Gra artystów naszych jest staranną, wystawa o ile być może zadawalniającą. Scena przybrana jest zawsze a kostiumy świeże i dobrze zastosowane, niektóre zaś tak piękne, że każdą ozdobiłyby scenę. Pierwsze miejsce pomiędzy artystami trzymają: oboje pp. Mikulscy, panny Kwiatyńska i Henneman, pani Wesołowska, pp. Zamojski, Cybulski, Werner, Koehler, Bolesławicz itd. W tym tygodniu wznowiono *Precyozę*.

Na benefis zaś pani Mikulskiej przedstawiono *Noc Ś-go Bartłomieja* czyli *Krwawe wesele* Lindnera, przekład wierszem Aurelego Urbańskiego.

Jakkolwiek Lindnera do lepszych w Niemczech dromaturgów zaliczają, to jednakże *Noc ś. Bartłomieja* do sztuk nie należy najlepszych. Intryga nie dość jasna dla mniej świadomych historyi. Ku końcowi okropnością przesyca a co więcej, że historyą fałszuje.

Opera nasza, to dziecię w kołysce jeszcze, witane przez nas z pociechą zawsze. Poznań nie miał nigdy opery polskiéj, jest to zatem nowalija, którą ocenić winniśmy i za którą wdzięczni jesteśmy dyrekcyi teatru, jako też i p. Stefanowi Krzyszkowskiemu, dyrektorowi opery — który ją stworzył z trudem i mozołem.

Halka Moniuszki, miała już *dwadzieścia* przedstawień, a teatr zawsze był napełnionym, jeżeli nie *przepełnionym* mimo cen znacznie podwyższonych. Na drugiem piętrze i galeryi widzieliśmy za każdym razem sześć, siedem głów jednę na drugą, aż pod sam sufit. A uczęszcza i Niemców wielu i żydów—niekiedy bardzo wielu. Widzieliśmy już niemal połowę pierwszego piętra zajętą przez arystokracyą niemiecką i oficerów. Na drugie i trzecie przedstawienie *Halki* przybywali Niemcy z Berlina, dyrektorowie muzyki i recenzenci; tak samo z Wrocławia, Bydgoszczy i Szczecina mimo całej niechęci, jaką żywią ku wszystkiemu co słowiańskie. Mówiono wtedy wiele o pośpiesznem tłomaczeniu libretta na język niemiecki, o krzątaniu się, by *Halkę* co rychlej przedstawić w Berlinie, ale projekt ten upadł, bo tam, znać nie chcą oswajać publiczność z dowodami inteligencyi słowiańskiej.

P. W.

(*) Wiadomo że główną firmę w Tellusie stanowił hr. Plater że go obwiniają jako sprawcę zniszczenia tej instytucyi i że skutkiem tego toczy się obecnie sprawa w sądach cywilnych Królestwa o wynagrodzenie szkód ztąd poniesionych.

Redakcja.

Korespondencya z Londynu.

Marzec 1874 r. (spóźniona).

Pisząc dziś z Londynu niepodobna zacząć od czegoś innego jak od tego o czem piszą wszystkie tutejsze gazety, o uroczystościach przyjęcia księcia Edymburgskiego z dostojną jego małżonką i o szczęśliwie zakończonej wojnie z Aszantami.

Od wylądowania na ziemię angielską, nie zliczyłby bukietów ofiarowanych choćby tylko od Londynu do Windsor, kwiecistych girland i lamp różnokolorowych rozwieszonych na drodze przejazdu dostojnej pary.

Gazety pisały o ogromnym torcie ślubnym ofiarowanym w Petersburgu, zdaje się jednak że przewyższa go nieskończenie wspaniały *wedding—cake* angielski, ustawiony na stole królewskim na przepyszným złotym półmisku. Architektem tego *weselnego kołacza* mającego przeszło 6 stóp wysokości był nadworny cukiernik królowej, pan Ponder. *Gmach* ten podzielony na kilka pięter, każde innej formy zdobiły figury i godła, przypominające, że książę Edymburgski jest admirałem marynarki angielskiej. Całe państwo Amfitryty składa hołdy młodej księżnej, nie wyłączając samego Neptuna, uzbrojonego trójzębem i otoczonego orszakiem Trytonów. Na innem piętrze siedzą na delfinach, jakby na koniach, bóstwa miłości, trzymające w ręku bukiety kwiatów pomarańczowych i białych lilii. Na szczycie wznosi się statua Ś. Jerzego poskramiającego smoka. Jest to takie arcydzieło w swoim rodzaju, że wartoby odtworzyć je z marmuru, na uwiecznienie do jakiego stopnia doskonałości sztuka cukiernicza posuniętą jest dziś w Anglii.

W Grawesend byłem obecny wylądowaniu dostojnych nowożeńców, i widziałem olbrzymi bukiet złożony z róż kamelii, paproci, lilii i innych najrzadszych kwiatów, ujętych w złotą obręcz nasadzaną perłami; inkrustacye przedstawiały pochodnią hymenu. Bukiet ten ofiarowała księżnej miss Lake, córka mera Grawesende: cała droga zasłana była zielenią i kwiatami, a najpiękniejsze żywe kwiaty W. Brytanji, 120 dziewcząt od 7 do 15 lat wieku, ubrane w mundury marynarskie i w takież kaszkieciki z napisem „Marya” tworzyły dziewiczą straż honorową. Królowa oczekiwała nowożeńców w zamku Windsor, jednej z najwspanialszych rezydencyi monarszych w Europie. Jest to zarazem pałac i forteca; liczba i wielka wartość znajdujących się tam obrazów, nadawałaby mu prawo do nazwy muzeum malarstwa; biblioteka windsorska obejmuje nad-

zwyczaj rzadkie i nieocenionej wartości dzieła; w muzeum artyleryjskiem jest zbiór najdawniejszych broni; w kaplicy pałacowej mieszczą się groby monarchów i książąt. Kaplica ta założona pod wezwaniem S. Jerzego, do niej także przywiązana jest kapituła najdawniejszego w Europie orderu S. Jerzego. Pałac windsorski, jego wieże i blanki są prawdziwym cudem architektury feodalnej; dotąd jest on doskonale zachowany, powierzchowność wspaniała, rozkład wewnętrzny przepyszny. Utrzymanie go w tym stanie jest nader kosztowne, samej służby w liberyi pałacowej jest przeszło dwieście osób.

Jakby na uświetnienie przyjęcia księcia Edymburgskiego, właśnie w dniu, gdy przedstawiał narodowi swoją młodą małżonkę, nadeszła depesza donosząca o stanowczem zwycięztwie odniesionem nad Aszantami, którego przedostatnie telegramy obiecywać się nie zdawały. Król Koffe nie uląkł się pogróżek i postanowił stawić opór; musieli Anglicy wygrać parę bitew, zdobyć i spalić jego stolicę, gdyż jak mówi raport jenerała Wolseley, gdyby opuścił stolicę bez zniszczenia, król opuszczenie jej nazwałby ucieczką.

Wielkie to jednak pytanie, czy zwycięztwo to zapewni jakieś stanowcze rezultata; spalono miasto, ale dzikim pozostały lasy, stanowiące zarazem ich fortecę i schronienie. Jenerał Wolseley sam pisze w sprawozdaniu swojem, że „wojnę z barbarzyńcami skończył czynem barbarzyńskim".

„Musiałem koniecznie, mówi on, zostawić niezatarte ślady naszego zwycięztwa i potęgi, aby dzikim napastnikom odjąć ochotę nowej napaści. Dla tego rozkazałem zniszczyć pałac królewski i spalić stolicę. Zamierzałem także w gruzy zamienić „Bantoma" gdzie spoczywają popioły dawnych królów, ale zajęłoby to nam za wiele czasu".

Tak więc Anglicy pozostawili za sobą, dymiące zgliszcza i gruzy, co przecież nie daje żadnej rękojmi stałego pokoju.

Londyn powita niebawem trofea zwycięztwa, i jak dawniej po spaleniu pałacu cesarskiego w Chinach, tandeciarze wszelkich stopni sprzedawać będą w swych kramach, przeważnie asantyńskie osobliwości. Według sprawozdań Korrespondenta *Times'a*, pałac aszantyńskiego królika mieścił w sobie bogate zastawy srebrne i złote, prześliczne szkła czeskie, porcelanę, kosztowne skrzynki, mnóstwo parasoli, narzędzia muzyczne, kapelusze, czapki, maurytańskie sandały, a nawet książki i zegary rozmaitej wielkości i kształtów. Jakież to bogate pole dla handlarzy; będą tysiącami podrabiać rozliczne niby aszantyńskie osobliwości, i korzystając z czasu sprzedawać na wagę złota bogatym amatorom rzadkości, które gdy minie aszantomania znajdą się mniej więcej w komplecie na tak zwanym „targu starzyzny".

Wspomniawszy o tem targowisku muszę wam go opisać, bo jestem pewny że choć wielu czytelników i czytelniczek „*Tygodnika*" zwiedzało stolicę W. Brytanii, nie wiedzą zapewnie, jak zresztą i wielu stałych mieszkańców Londynu, że wielki targ Islington na którym odbywa się ciągle sprzedaż koni i bydła i który zostaje pod bezpośrednim nadzorem lorda majora, raz w tydzień, to jest we czwartek, zamienia się na targowisko łachmanów i najprzeróżniejszej starzyzny.

Handel starem odzieniem, naczyniami stołowemi, staremi narzędziami i różną „starzyzną" nie jest żadną nowością w dziejach targowisk londyńskich; już od najdawniejszych czasów „targ łachmanów" istniał w najlepsze i istnieje dotąd w niedziele w Houndsditch. Kto nie był naocznym świadkiem nie zdoła sobie wyobrazić rozmiarów odbywającego się tu handlu. Nawet obcy przybysz trafi tam łatwo w niedzielę, wtedy gdy odgłos dzwonów zwołuje na nabożeństwo, idąc za śladem nader nędznie lub wcale prawie nieodzianych tłumów, zdążających w tę stronę ze wszystkich krańców stolicy. A z jakże to charakterystycznych postaci składają się te tłumy!... Demonstracya fenianów, pożar, walka najsłynniejszych bokserów, nie zdoła nigdy zgromadzić tak licznej i równie pstrokatej tłuszczy...

Przed kilku laty, niektórzy prawodawcy, powodowani dobremi pobudkami, żądali zakazania tych tłumnych zbiorowisk, odbywających się w niedzielę w samem sercu City, ale dla ważnych i słusznych powodów, żądaniu ich nie uczyniono zadość. Obrońcy tych targowisk nie bezzasadnie twierdzili: że były one pożyteczne dla biednej ludności, gdyż rodziny nie będące, w możności sprawiania choćby najtańszej odzieży, tam jedynie mogą się zaopatrzyć w nią za ceny nader nizkie,—a zresztą z dwojga złego lepiej już żeby tam przepędzali dzień Boży, niż w najohydniejszych knajpach i szynkach.

Szczęśliwi bogacze, nawykli wydawać rozkazy krawcom, kapelusznikom i szewcom, nie troszcząc się o rachunki jakie im podadzą, nie mają pojęcia za jak nizką cenę można w Moses—square ubrać się dość przyzwoicie od stóp do głowy, byle nie domagać się artykułów ostatniej mody, i nie zważać że suknia jaką przywdziewa miała już przed nim jednego lub więcej właścicieli, i obuwie, że się już komuś wysługiwało.

Znajdzie tu bowiem wyroby wszystkich krawców londyńskich, począwszy od najsławniejszego, p. Poole, aż do Salomona Lazore, dostawcy mundurów dla wojska. Jest to „Giełda" odzieży, pod dachem i daleko rozleglejsza niż plac targowy w Billingsgate, mająca swój kołowrot i poborcę, pobierającego po jednym penny (przeszło 2 kop.) od każdego wchodzącego, bez różnicy czy przychodzi przedawać czy kupować. Tu schodzą się po całotygodniowych obrotach niezliczeni pionierowie przekupniów starzyzny, wyzyskujący Londyn i jego okolice, których worki, gdyby je nagromadzić w jedno miejsce, utworzyłyby zaspę wysokością równającą się piramidom egipskim. Jednak właściciele, nie myśląc bynajmniej wznosić tego pomnika nowego rodzaju, wypróżniają swe worki, sprzedają zawarte w nich stare graty, za które na każdej takiej „giełdzie" zbierają przeszło po 12,000 rs.

Ale nie sami tylko handlarze starej odzieży, przynoszą swe łupy na targ łachmanów; przybywają tu także przedstawiciele wielkiego stowarzyszenia handlarzy poobtłukanej porcelany, wyszczerbionych fajansów, szklanek i kieliszków, oraz handlarze obiegający najnędzniejsze ulice i zaułki Londynu, gdzie za parę kopiejek zakupują najwięcej wynoszone a nawet zatłuszczone kapelusze. Patrząc na sterty podobnych exkapeluszy, zdaje się że zabrano je w celu wyrzucenia na śmiecisko, a jednak wędrowni kapelusznicy potrafią prostować i odprasowywać te szkielety, które potem można kupić za 6 pensów. Dla wybredniejszych nabywców mają nieco lepsze po 8 pensów, a dla *wykwintnych elegantów* aż po pół—korony (około 75 kop). Ale na takie nie wielu bywa nabywców.

Mniej świetną ale nader liczną praktykę mają handlarze starego obuwia. Tu można widzieć buty wykoślawione, poprute, podarte, bez obcasów, bez podeszew, bez przyszew, które zdaje się niepodobna byłoby połatać; trudno przypuścić aby mogły istnieć gorsze. Jednak jeden za drugim przybywają „klienci" mający na nogach daleko jeszcze więcej podarte obuwie, i żądają by zamienić je na wyż wymienione, z dopłatą 4 do 6 kopiejek. Ci *kontynuatorowie* rzemiosła Izaaka Laquedem, oglądają starannie wystawione na sprzedaż chodaki, przymierzają, siadając na ziemi, godzą się, płacą przewyżkę i interes skończony.

Zdawałoby się że podobny handel nie może wielkich przynosić korzyści; jednak wnosząc z wzajemnego współubiegania się handlarzy, podkupujących się w wynajmowaniu małych przestrzeni miejsca, na których rozkładają swe towary, trzeba przypuszczać przeciwnie. Właściciel Moses—skweru nie wie co to są bankructwa lub niewypłacalność; jemu trzeba płacić gotówką lub odchodzić z niczem. Zapewniano mnie, że za prawo zajmowania przestrzeni jednego metra kwadratowego w niedzielę, od dziesiątej rano do drugiej po południu, pobiera opłaty 5 do 6 kopiejek. Około jedenastej, poborca obchodzi targowisko wraz z posługaczem, niosącym zawieszony na szyi wielki worek skórzany, w który składa opłaty; jednocześnie rozmierza wynajętą przestrzeń, i biada temu, któryby choć o kilka cali zajął więcej miejsca niż zapłacił; ten w następną niedzielę nie dostałby ani piędzi ziemi, choćby za nią poczwórną chciał uiścić zapłatę.

(d. c. n.)

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg.)

Pomiędzy romansopisarzami, którzy gardząc współczesną epoką, rozmiłowali się w dawnych dobrych czasach i tradycyach przeszłości, i z lubością opisują prostotę ówczesnych obyczajów, zasługuje na wzmiankę pani Kochanowska i Aksakow.

P. Kochanowska jest to talent pierwszorzędny, a jej sposób opowiadania odznacza się prawdą i naturalnością; jednak powieści jej wiele tracą na wartości skutkiem przesadzonego i stronnego upodobania w przeszłości, i bezzasadnego wychwalania starych zwyczajów życia rodzinnego i właścicieli ziemskich, którego wady sama autorka krytykowała i potępiała dawniej.

Do najcelniejszych utworów Aksakowa patryarchy sławianofilów, zaliczają *Kronikę*, *Wspomnienie rodzinne* oraz *Dziecinne lata wnuka Bagrowa*. Pierwszy utwór składa się z oderwanych opowiadań, którym tylko obecność tych samych osób nadaje niejaką jedność. Kronika ta przedstawia kilka starodawnych typów prowincyonalnych, rzadko kiedy i to nader pobieżnie, dotyka życia społecznego, lecz za to życie rodzinne odmalowane jest tak doskonale i wiernie, iż każdy niemal ustęp zdradza w autorze wielki talent spostrzegawczy i głęboką znajomość serca ludzkiego.

W *Dziecinnych latach wnuka Bagrowa*, autor nader zajmująco przedstawia rozmaite wrażenia dziecka, posiadającego zbyt czułe serce, oraz chorobliwą i drażliwą wyobraźnię. Dzieło to napisane przeważnie w celu pedagogicznym, stanowi klasyczną książkę do czytania dla młodzieży, i mieści w sobie zajmujące opisy przyrody we wschodniej części Rossyi, oraz wiele nader zręcznie naszkicowanych biografii.

Przekłady arcydzieł literatur zagranicznych, jak uprzednio tak i w tej epoce wielkiem cieszyły się powodzeniem; szczególniej poszukiwane były powieści Dikensa. Do liczby dawniej znanych autorów przybyli nowi, jak Hawthorne, Eliot, Trollope. W znacznej liczbie przekładów pisarzy klasycznych, wyróżniają się niektóre wiernością i udatnością, jak np. Schakespeare, *Król Lear* przetłomaczony przez Drużymina, *Makbet* p. Ustriałowa, dzieła Schillera przez Gerbla i dramata Kalderona przez Kostarewa. Reformy dokonane w zakresie politycznym i społecznym, które tak wielki wpływ wywarły na piśmiennictwo rossyjskie, oddziałały także i na wybór dzieł do przekładów. Kiedy było w modzie aby bohaterami w powieściach były ofiary losu, zaczęto także tłomaczyć dzieła zagraniczne

w tymże samym pisane duchu, jak np. *Chatka wuja Tom* (1857) przez panią Beecher Stove, opisująca smutne położenie niewolników w plantacyach Amerykańskich, oraz romans pani Gaskel, *Mary Barton*, przedstawiający życie i obyczaje robotników w Manchester.

Wyszły także poezye Berangera w dobrym przekładzie Kuroszkina, a publiczność z takiem upodobaniem czytająca wtedy Nikitina bardzo dobrze przyjęła tłomaczenie, tem więcej że do wielu podłożono muzykę. Heinego tłomaczyli Woroncow i Weinberg, a Barbier'a Minajew. Przekłady te wielką cieszyły się wziętością, gdyż wówczas właśnie uganiano się za satyrami.

W tym także czasie wydano zbiór najlepszych pieśni ludowych rossyjskich, przekłady pieśni różnych narodów. I tak w 1854 Berg wydał pieśni ludowe rozmaitych ludów, a szczególniej Serbów i Czechów, a między innemi najdawniejszy pomnik poezyi czeskiej p. t. *Sąd Lubuszy*; lecz przekłady jego zalecają się raczej gładkością wiersza niż wiernem odtworzeniem oryginału.

Teraz z kolei przejdziemy do innych działów literatury i zakończymy poglądem na ogólny stan tegoczesnego piśmiennictwa rossyjskiego.

II.

HISTORYA.

W latach od 1850 do 1860 dzięki świeżo ogłoszonym pomnikom i dokumentom dziejowym, historya zaczyna być przedstawiona z więcej postępowego stanowiska niż za czasów Karamzina, ale możnaby powiedzieć, że nadmiar materjałów z jakich czerpać mieli, przygniótł swym ciężarem dziejopisarzy rossyjskich, którzy mając niezliczoną liczbę faktów i dowodów na ich poparcie pisali ogromne tomy przepełnione niezliczonemi cytacyami, zapominając zupełnie o stylu i formie. Z pomiędzy wszystkich wyróżnił się Kostomarow, autor *Badań nad historyą Kozaczyzny*, Sołowiew, i biskup Makary, którzy obok bogactwa dowodów i nader głębokich poglądów, odznaczają się wytworną formą i jasnością przedstawienia, tak, że dzieła ich czytają się łatwo i z zajęciem jak utwory belletrystyczne. Ciż dziejopisarze badali zarówno postęp rozwoju narodowego i wszelkie wypadki ważniejsze, w których odbija się działalność ludu, a domowe i rodzinne jego życie przeważnie się uwydatnia i główną odgrywa rolę. Liczne wydawnictwa o historyi języka i piśmiennictwa narodowego, przyczyniły się także do rozpowszechnienia wiadomości i badań historycznych.

Znany zaszczytnie w piśmiennictwie rossyjskiem Ustriałow, w znakomitem dziele swojem *Historya panowania Piotra Wielkiego*, podaje wiele nowych danych, rzucających silne światło na traktowany przedmiot. Ustriałow miał pod ręką obfite materyały, zawarte w dziełach, wydanych uprzednio o Piotrze W. w listach odszukanych w Paryżu i w Wiedniu, w prywatnych papierach tego cesarza, i w różnych dokumentach dyplomatycznych i sądowych. Praca Ustriałowa tem większą przynosi mu chlubę, że uprzedni dziejopisarze żadną niemal nie byli mu pomocą; ze wszystkich dzieł historycznych, jakie uprzedziły jego książkę, tylko historya Karamzina zasługuje na wspomnienie i porównanie. Ci dwaj pisarze zbliżają się bardzo poglądem, przedstawieniem i stylem. Jednakże Ustriałow zamiast brać za podstawę zasadniczą fakta historyczne i związek ich z charakterem, położeniem i stopniem rozwoju narodu, traktuje swój przedmiot raczej ze stanowiska biograficznego. Dzieło jego jest żywym obrazem czynów Piotra I-go, dokładnem ugrupowaniem faktów, odnoszących się do osoby cesarza, i przedstawieniem stanowiska stronnictw, otaczających dziecinne i młodociane lata monarchy. Jakkolwiek dzieło to jest bezstronnym opisem wypadków politycznych, mających miejsce podczas tego panowania, jednak kilka dotąd wydanych tomów nie jest rzeczywiście prawdziwą historyą w całem tego słowa znaczeniu, lecz, szczególniej jeźli chodzi o epokę tak niedawną, nie można wymagać od historyi rossyjskiej zbyt podniosłego poglądu, i należy poprzestać na wiernem, dokładnem i bezstronnem przedstawieniu prawdy, — i z tego to stanowiska należy zapatrywać się na przedsiewzięcie Ustriałowa, z którego też wywiązał się umiejętnie i sumiennie.

Autor *Historyi rossyjskiej od najdawniejszych czasów*, Sołowiew ma tę wielką zasługę, że pierwszy zaczął robić poważne studya, nad dziejami swego narodu, będących do owego czasu prostem nagromadzeniem faktów i wydarzeń, bez jedności poglądu, oraz żywotnego i ograniczonego łączącego je węzła: Sołowiew wziął sobie za zadanie przedstawić jak państwo rossyjskie, wyzwalając się powoli z formy pod jaką pojawiło się w początkach swego powstania, założyło zwolna podstawy swych zasad politycznych, aż do chwili, kiedy przejęci niemi monarchowie moskiewscy, wprowadzili je w praktykę i zagarnąwszy pod swoją władzę wszystkie dawne, podupadłe udzielności, wytworzyli potężne państwo moskiewskie, złożone ze swych posiadłości i podbitych dzielnic. Sołowiew świetnie spełnił swoje zadanie, a dzieło jego jest najgłówniejszą ozdobą rossyjskiego piśmiennictwa. Dziejopisarz ten w tem głównie zbłądził, że zajął się wyłącznie wykazaniem centralizacyi władzy politycznej do konanej przez Moskwę, pomijając ogólne współdziałanie narodu, przedstawiające się pod rozlicznemi postaciami. Główną cechą jego talentu jest doskonałe charakterystyczne przedstawienie obyczajów ówczesnych, z zachowaniem kolorytu starożytnych oryginalnych dokumentów, a w dziele jego pełno jest wyciągów, zaczerpniętych z kronik, ukazów i podobnych dowodów.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Wychowanie domowe. Tomik I. Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno. Wydawnictwo redakcyi Opiekuna Domowego.

(Dalszy ciąg.)

Najprzód co do autorów mających ukazać się w 25 książeczkach wyłącznie *oryginalnych*, prospekt podaje jedyne cztery nazwiska i to literatów niezbyt na polu pedagogicznem zasłużonych. Rękojmia więc niewielka, a raczej żadna i to nietylko co do wartości, ale co jest nieodłącznem od wartości i u nas najważniejszem, co do kierunku wydawnictwa. Wiadomo bowiem że do składu redakcyi, a w każdym razie do liczby spółpracowników Opiekuna należy wielu *młodych* literatów, którzy mianują się postępowymi par-excellence i hołdują (na czem właśnie ma zależeć ów postęp) bezwyznaniowości, materyalistycznym i negacyjnym, kosmopolitycznym i korzącym się przed siłą i bogactwem teoryjkom. Nie całkiem więc płonną była obawa wielu, którzy sobie pomyślili: co to będzie jeżeli w tem wydawnictwie autorowie zechcą szerzyć teorye walki o byt, utylitaryzm i sensualizm?

Dla dobra samego wydawnictwa i dla uchronienia redakcyi od zawodów, odważylibyśmy się przestrzedz, że przeprowadzenie owych jaskrawych nowinek, oprócz krótkotrwałego zadowolnienia, nie przyniosłoby innych owoców i stanowczo nie może udać się u nas. Ściśle religijno-moralny charakter polskiej rodziny urobiony wiekami, pozostaje i dziś jeszcze zasadniczym i na długie wieki niezbędnym i pomimo cząstkowego zaciekawienia i przekradających się tu i owdzie, najsilniej na niedojrzałe umysły działających wybryków materyalizmu, ogół nasz strąci trucizne, jeśliby kto ważył się wprowadzać ją pod strzechę rodzinną w postaci postępowej „wiedzy" dla maluczkich, w szacie nowszej pedagogiki. A nie brak skazówek, zdradzających owe wpływy w zamierzonem wydawnictwie, jak to poniżej wykażemy. Wprawdzie redakcya, ustępując różnym głosom, przyrzeka dać i katechizm (jeden z istniejących), ale trudno nie dojrzeć, że jak w pierwotnym tak i w rozszerzonym prospekcie głucho jakoś o moralności chrześciańskiej (której przecie dogmatyczny katechizm jeszcze nie nauczy); głucho o tem i w wykazie zamierzonych dzieł, gdyż „Etyka społeczna" którą tam znajdujemy, dziwnie jakoś wygląda: nazwa to pozytywna, przez Comte'a utworzona, a rzecz sama podobno jeszcze nawet i w systemie pozytywnym nie istnieje, jakim więc sposobem redakcya chce wykładać tę naukę naszym dzieciom? Nadto w wykazie co ważniejsze, brak grammatyki polskiej (a jednak do dziś dnia nie mamy dla dzieci odpowiedniej), brak historyi starożytnej, która tak dzielnie rozwija umysł i serce, brak nawet wzmianki o językach starożytnych (w I książeczce wyraźnie autor oświadcza się przeciwko takowym), w czem widać ów przesadny realizm, zbratany z materyalizmem a przynajmniej doń prowadzący, a nieprzyjazny duchowi: nieprzyjaźń ta przebija się nawet w tem, że unikając logiki z psychologji redakcya obiecuje nam jakąś Księgę Myśli, mającą takowe nauki zastąpić. Oby te objawy oryginalności nie okazały się czczą pogonią za błyskotkami po nieutartych szlakach. Nakoniec wydawcy nieco przesadnie i zarozumiale twierdzą, że poznawszy to wszystko, co zamierzają zawrzeć w owych 25 tomach, można stać się prawdziwym obywatelem, obrać sobie zawód handlowy, przemysłowy i rolniczy lub poświęcić się naukom i sztukom specyalnym.

Nie sądzimy, ażeby to było możliwem, choćby już tylko wobec wytkniętych powyżej braków w planie, nie mówiąc już o zarozumiałem przecenianiu jego wykonania, nie wspominając już o potrzebie (mówiąc w ogólności) wychowania publicznego i o wymaganiach istniejących w całej Europie praw. W przekonaniu autorów i redakcyi ich encyklopedya, przypuśćmy, zastąpi średnie nauczanie gimnazyalne, ale nie zmienią oni przecież istniejących ustaw, które dziś w całym świecie cywilizowanym nie dopuszczają do wyższych studyów tych, którzy nie są obeznani ze starożytnymi ęzykami. Jakim więc sposobem przeszedłszy ów kurs choćby najlepszy i z samych arcydzieł złożony, można „poświęcić się naukom" wbrew istniejącym urządzeniom? Chyba wydawcy dodadzą jeszcze wyższy kurs uniwersytecki, który uzupełni obciętą ich mądrość; ale od czasów Sokratesa wiemy, że tysiące tomów nie zastąpią żywego słowa, wykładu ustnego. Nadto wyjątkowe położenie tego lub owego społeczeństwa, nie może być usprawiedliwieniem niezupełnej lub zwichniętej teoryi pedagogicznej.

Wzmiankę naszą o naleciałościach materyalistycznych usprawiedliwiają niektóre poglądy wyrażone w 1-ym tomiku „Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno," które tu pokrótce wskażemy. Oto np. autor utrzymuje, że wrażenia pierwszych chwil życia dziecka pozostają na całe życie, że np. dziecko staje się próżniakiem na całe życie dla tego, że bywało nieraz świadkiem gier i zabaw, którym oddawali się starsi (str. 4—5). Nie możemy zgodzić się na ten fatalizm autora, który oczywiście wypływa z przypisywania wszechmocnego wpływu, zewnętrznym nawet przypadkowym okolicznościom. Naszem zdaniem, właśnie zdrowo pojęta pedagogija powinna nietylko usuwać złe wpływy i takowym zapobiegać, ale także osłabiać ich skutki, niweczyć je, wyplewiać chwasty, które już zdołały wkraść się do duszy dziecka. Wprawdzie

kwestya wrodzonego charakteru a przynajmniej pewnych wrodzonych usposobień (charakteru *in potentia* jak mówiono dawniej) nie jest jeszcze rozstrzygniętą ani twierdząco, ani przecząco, wszelako trudno zgodzić się z autorem, że przyczyną niejednostajności charakteru u dwojga jednakowo chowanych dzieci może być ta okoliczność, że jedno naprzykład częściej widziało zagniewanych rodziców niż drugie (str. 20). Jeszcze wybitniej wpływ sensualistycznych doktryn przebija się i w pamięci przechowuje (str. 24). Przechowywać w pamięci nie pojmując —można tylko biernie, mechanicznie, przez fizyologiczne i chemiczne zmiany w mózgu, które nie potrzebują udziału świadomości ani woli; jest to właśnie sensualistyczna doktryna materyalizmu. Jakim zaś sposobem można s p o s t r z e g a ć bez udziału ducha i władzy rozumowej, tego nawet materyaliści nie pojmują i wyraźnie twierdzić nie śmieją.

Tak więc autor, zabierając się do wykładu ogólnych zasad i celów pedagogii, nie bierze zupełnie w rachubę duszy dziecka z jej siłą działania i oporu, (choćby nawet tylko w wieku późniejszego dzieciństwa) lecz z góry i całkowicie uważa ją za bierną, za *tabula rasa* (czystą tablicę) według słów Lokka, czyli co na jedno wychodzi, nie uznaje jej wcale. Jeżeli bowiem nie przypuszczamy siły, ani objawów, ani działania samodzielnego czego bądź, równa się to całkowitemu nieuznaniu tego *coś*, w grzeczniejszej niejako tylko formie. Przy takiem zapatrywaniu się oczywiście autor nie uznaje wrodzonej człowiekowi skłonności do złego, o której nam mówią, nauka chrześcijańska i doświadczenie codzienne, nie pochwala więc ani kar ani nagród w pedagogii i ludzi się, że stosownem wychowaniem można doprowadzić dziecko do tego, ażeby swobodnie wykonywało cnotę bez żadnego przymusu (str. 94 i 97). W tym punkcie autor idzie za zdaniem Russa i zwolenników tego idealno-sentymentalnego optymizmu, tej bałwochwalczej czci dla natury ludzkiej, sprzecznej tak z nauką chrześcijańską jak i z codziennem doświadczeniem i z historyą, choćby nawet z historyą naszych cywilizowanych czasów! Praktykowanie cnoty, z samego zamiłowania dobra, jest niewątpliwie ideałem człowieczeństwa i ideał ten postawiło chrześcijaństwo, ale wobec ułomności natury ludzkiej, osiągnięcie a przynajmniej zbliżenie się do tego ideału, nauka chrześcijańska uważa za możliwe jedynie przy pomocy *miłości* Boga i ludzi. Russo i inni myśliciele wzięli ten ideał chrześcijański ale w zaślepionej swej czci dla nowego Boga, którego chcieliby posadzić na tronie starego—dla ludzkości—mniemali oni że owa świętość, owa doskonałość moralna jest normalnym stanem ludzkiej natury, dającym się sprowadzić drogą racyonalnego wychowania i rozwoju. W tym punkcie nieraz *pozytywiści* stawali się i stają się *najidealniejszymi utopistami*. Główna to i zasadnicza strona ujemna książeczki, o której mowa, gdyż bądź co bądź anti-chrześcijańskie te utopije dla nas nie mogą przynieść żadnego pożytku, chyba tylko nieobrachowane straty.

(d. c. n.)

Kiejstut i Witold

WIĘŹNIAMI JAGIEŁŁY.

Obraz p. W. Gersona, nagrodzony medalem na Wystawie Wiedeńskiej.

Mówiąc niedawno o malarstwie historycznem, ubolewaliśmy nad brakiem godnych przedstawicieli tego oddziału sztuki stanowiącego, jej koronę i uwieńczenie. Szczęśliwsi pod tym względem, stosunkowo zasobniejsi jesteśmy od obcych w poetów pędzla, szukających natchnienia w zamarłej przeszłości. Fakt to niezmiernie znaczący, zwłaszcza wyrosły wśród chwastu i zgnilizny obecnej obojętności pogardzającej wszystkiem co z natchnienia duszy powstawszy, przemawia do serca, do wyobraźni a nie do worka łaknącego złota.

Wśród ciągłego boju z dziczą pogańską, przerzucającego ojców naszych co chwila ze spokoju domowej zagrody w odmęt wojennej wrzawy, materyalizm zbyt rozwielmożniony, nie miał czasu wzrość i rozkrzewić się. Niepewni jutra, w krzepieniu ducha szukać musieli zasobów do poświęceń i ofiary, poezya też przesiąkała całą społeczność, pieśń ożywiała wszystkie chaty, w dworach wiejskich rodzili się wielcy poeci, a dziś przyszła kolej na poetów malarzy, jako konieczność zbiegiem okoliczności wywołana.

Do rzędu ich należy bez zaprzeczenia p. Wojciech Gerson, a obraz jego Kiejstut i Witold chwilowo wystawiony w Warszawie, świadczy pochlebnie tak o przymiotach techniki jak i wyobraźni unikającej trywialności w pomyśle.

Artysta wziął za zadanie ważną niezmiernie chwilę dziejową. Rozdzielone części kraju domagały się skupienia, aby z czasem utworzyć całość pełną siły i potęgi, coby ważyć mogła na szalach spraw politycznych całej Europy. W coraz większą potęgę rosnący Zakon Krzyżacki był bliskim zupełnego tryumfu, aby mu do tego przeszkodzić, przedewszystkiem waśnie o władzę naczelną musiały być umorzone. Gdyby Kiejstut zwyciężył, Jadwiga nie zostałaby żoną Jagiełły, Grundwald nie zajaśniałby zwycięzką walką nad niemi a Krzyżacy kto wie czyby nie dotarli aż do morza Czarnego, narzucając jarzmo ziemiom, odgradzającym ich od Niemiec. Obawy te nie musiały być tajne Jagielle, a chcąc je jak najprędzej usunąć, nie mając siły odpowiedniej użył podstępu, z którego go przyszłość zupełnie rozgrzeszyła.

Jagiełło to wybrana jednostka, w całem swem życiu cokolwiek przedsiewziął wieńczył wszystko powodzeniem, chociaż się zbytnią przenikliwością wcale nie zalecał. Podstęp też użyty na zwabienie Kiejstuta i Witolda do swego obozu udał mu się najzupełniej. Książęta nie domyślając się zdrady stawili się na wezwanie do układów swego krewniaka, Jagiełło kazał ich uwięzić i chwilę tę tak wielce dramatyczną przedstawia właśnie obraz pana Gersona.

Jagiełło siedzi w krześle, spoglądając niespokojnie nawet ponuro na stryja, i syna jego uderzonych jakby gromem wydanym rozkazem uwięzienia. Proksza cześnik Jagiełły stoi za krzesłem przyszłego króla i zdaje się pilnować, aby pan jego uniesiony porywem sumienia niestracił sposobności do wzięcia przewagi, tak zręcznie i szczęśliwie przygotowanej. W twarzy jego, w spojrzeniu ukośnie zwróconem ku Jagielle, wybornie maluje się cały proces myśli, odgrywający się w duszy doradzcy. Jagiełło niecierpliwi się, czuje że grzeszy ale nie ma siły oparcia się grzechowi. Na przeciw niego stoi Kiejstut z ręką jedną położoną na piersi, z drugą wzniesioną w górę jakby wzywał bogów o pomstę za zdradę której ulega. Przednim znajdują się synowie Patryk i Zygmunt ze zgrozą i przerażeniem przyjmujący wyrok Jagiełły, przy nich klęczy Witold z głową pochyloną na ręku a księżna Anna Smoleńska żona Witolda obejmując ręką małżonka, także klęcząc stara się wymową skłonić do litości i współczucia tego, co zamiast zgody dał teściowi jej i mężowi więzy. Piękna to bardzo postać, pełna wdzięku i boleści, ale w chwilach tak ważnych życia narodów, potęga jej nikła: Jagiełło pozostaje nieczułym, twarz jego z ponurości nic nie traci. Po lewej stronie mieszczą się Świdrygiełło brat Jagiełły i bracia przyrodni: Korybut, Włodzimierz, Lichwen i Korygiełł. Wszystkie te postacie z niezmierną starannością wystudyowane, każda twarz inna, prawdziwie typowa, i na każdej inny wyraz malujący odmienne zupełnie uczucia, jakie ją ożywiają. Patrząc na całość, poważne myśli gwałtem się nasuwają, czuć powiew przeszłości pięcioma prawie wiekami od nas odgrodzonej, boleje się nad Kiejstutem, współczuje z księżną Anną, ubolewa nad koniecznością robiącą Jagiełłę złym, jakim nie był z natury, a Witolda pragnęłoby się postawić na nogi, zobaczyć twarz jego ogniem gniewu pałającą, jaśniejąca przyszłem bohaterstwem jakiego przez całe swe życie tak świetne dawał dowody.

Piękna ta praca stawia p. Gersona w rzędzie pierwszorzędnych malarzy historycznych, nie tylko u nas ale i w obczyznie.

Kto jej nie widział niech żałuje, godna ona zestawienia ze Skargą Matejki i Jawnogrzesznicą Siemiradzkiego.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою

Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Opis do N. 18.

N. 1 i 4. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

Krój tuniki w dodatku N. IV, Fig. 20a—20c. Przybranie spódnicy stanowi szerokie plisowanie, u góry wycięte w zęby, naszyte falbanką, układaną w kontrafałdy i plisą przepinaną kokardami. Plisa, kokardy, zakończenie przy tunice, około 10 cent. szerokie, wykłady na rękawach i na staniku, są z jedwabnego rypsu koloru sukni. Bogate guziki szmuklerskie, dopełniają przybrania. Tunika zapinana z boku, podpięta z każdej strony odmiennie, przykrojona jest podług Fig. 20, na której dołączone są miary długości i szerokości; ryc. 4 przedstawia w zmniejszonym formacie całość tuniki rozłożonej, wskazując układ podpięcia. Przedni bryt fig. 20a, ozdobiony pasem wyszycia i guzikami, dopełniony jest dwoma bocznemi klinami, (fig. 20b) przyszytemi od f. do g. Tylny bryt (fig. 20c) wymaga kawałka 63 cent. szerokiego materjału, 120 długiego. Ten przyszywa się od h do i do bocznego klina z prawej strony, a na szwie dają się fałdki po zszyciu tuniki, dalej od h do k bryt tylny przyczepia się do paska sukni za pomocą jednej fałdki, reszta pozostałej długości, dochodzi do lewego klina, przy którym urządzone jest zapięcie tuniki. Boczny bryt, sfałdowany podług wzoru, wszyty w pasek 5 cent. szeroki, opatrzony guzikami, spina się z tylnym brytem, w którym odpowiednio do guzików, odrobione są dziurki. Przez podpięcie tylnego bryta z lewej strony, powstaje ząb śpiczasty, z prawej zaś strony, składając gwiazdkę do gwiazdki i wywijając fałdy, powstaje bardzo zręczne podpięcie, dokładnie przedstawione na ryc. 4.

Na wzorze kroju odznaczone są tylko dwie poprzeczne fałdy z lewej strony i fałdy podpinające ząb z tyłu. Stanik z baskiną dopasować można podług kroju kaftanika, jaki przedstawimy w N. 19-tym.

N. 2 i 5. Suknia z vêtement.

Krój szalowego kołnierza w dodatku N. V, fig. 21. Suknia podana na ryc. 2, odrobiona jest z wełnianego rypsu oliwkowego koloru, i naszyta u dołu dwiema falbankami, ułożonemi w kontrafałdy i zakończonemi jasno zielonemi jedwabnemi wypustkami. Takaż materja dana na szerokim wykładzie w koło tuniki i na kołnierzu. Przody i boczki vêtement, zapinanego wzdłuż przodu, skrajane są w jednym ciągu z tuniką; plecy krają się razem z fałdowanym karoczkiem i dopełniają prostym brytem tylnym, który następnie suto się podpina. Wyłożenie dane u dołu w około tuniki jest 18—20 cent. szerokie, i przyczepia się w różnych miejscach niewidocznemi ściegami. Rycina 5 przedstawia z boku całość zgrabnego podpięcia tuniki. Oryginalny kołnierzyk kraje się podług fig. 21 i podkłada sztywną podszewką; końce kołnierzyka spięte są pod kokardą. Stanik zapina się pod szyję, lub otwiera podłużnie po brzegi kołnierzyka.

N. 3, 25 i 27. Ubranie dla chłopca od lat 4—7.

Krój kaftanika w dodatku N. XV fig. 64—68 i 1—11. Ubranie złożone z kurtki, kamizelki i majteczek, przedstawione na ryc. 3 jest z granatowego sukna. Przybranie, załączone w naturalnej wielkości na ryc. 26, składa się z grubego sznura, kręconego czarnego z białym, który oszywa brzegi i z cieńszego czarnego jedwabnego sznureczka, przytwierdzającego obrąbek na 1 cent. od brzegu; z takiegoż sznureczka dane są pętelki przy sukiennych guziczkach. Fig. 64—68 podaje krój na zgrabną kurtkę, z podwójnym ranwersem, którą przedstawiliśmy na ryc. 3 i 25. Wykład wystający od spodu, kraje się wraz z przodami kurtki (Fig. 64). Wyszycie przedstawione w naturalnej wielkości na ryc. 27, stanowi na rękawach odznaczenie wykładów.

N. 6—7. Tunika z szarfą boczną, otwarta z przodu.

Krój w dodatku N. XI; fig. 45a—45b.

Fig. 45 a i b podaje wzór kroju tuniki, z wypisaniem cyfr długości i szerokości, tudzież z oznaczeniem miejsc podpięcia. Rycina 6 przedstawia tunikę, podpiętą szarfą z boku, a ryc. 7 wskazuje od spodu sposób podpinania, za pomocą tasiemek, przyszytych w pośrodku tylnego bryta i przyczepionych do paska. Dla lepszego utrzymania buf dodane są z boków dwie inne tasiemki, wiążące się poprzecznie. Zakończenie tuniki stanowi lekko nadmarszczona falbanka, dwie pliski i aksamitka ciemniejszego od sukni koloru. Suta szarfa układa się ze skośnego kawałka 12—14 cent. szerokiego, oszytego pliskami i aksamitką.

N. 8—9. Sukienka z vêtement.

Forma taka i rodzaj przybrania, nadaje się do każdego gatunku materjału. Sukienka dla kilkoletniej dziewczynki podana na ryc. 8, wykończona jest z dwóch cieni niebieskiego koloru; ryc. 9 przedstawia sukienkę z brązowej wiktorji, przybraną piaskową materją. Vêtement podpinane z tyłu i przepięte paskiem, ma z brzegów, przy pasku, w koło szyi i na rękawach dodane jaśniejsze wypustki. Sukienka na ryc. 8 zakończona jest plisowaniem, z fałdów jaśniejszych i ciemniejszych naprzemian.

N. 10, 31 i 32. Sukienka ze stanikiem z baskiną.

Krój stanika w dodatku N. XIII, Fig. 51—57.

Sukienka załączona na ryc. 10, wykończona jest z materji wełnianej w dwóch cieniach rezedowego koloru jednak ten rodzaj odrobienia najlepiej nadaje się przy połączeniu materjału wełnianego z jedwabnym. Sukienki popielate, brązowe, piaskowe lub t. p. już noszone można ładnie odświeżyć, dodając przybranie w jasnym kolorze różowym, niebieskim, zielonym, fijołkowym itp. odpowiednim do koloru sukni.

Spódniczka od sukni ma 65 cent. długości, a 240 obwodu i składa się z przedniego bryta, ściętego od góry do 24 cent. u dołu 46 cent. szerokiego. Dwa boczne kliny mają w górze po 10, u dołu po 30 cent. szerokości, z tyłu dodaje się bryt prosty w całej szerokości materjału. Przybranie stanowią trzy falbanki marszczone ze skosu 10 cent. szerokiego, mającego o 1/3 więcej nad obwód sukni. Dolny brzeg ostębnowany jest jaśniejszą pliską, następnie falbanki przemarszcza się raz o 5 cent. od brzegu, a drugi raz o 2 cent. powyżej. Górny brzeg falbanki marszczy się odpowiednio i naszywa na sukni, w miejsce nagłówka dane pliski 4 cent. szerokie z grubą wypustką ze sznura. Ryciny 31 do 32 podają przód i plecy odmiennie przybranego stanika; przy wszyciu rękawów dane jaśniejsze wypustki ze sznurem. Brzegi stanika zakończają się wypustką i podszywają od spodu listewką 3 cent. szeroką. Kieszonki i wykłady na rękawach wykończają się oddzielnie i naszywają na staniku. Stanik na ryc. 31 ma dodane przybranie w kształcie berty, upięte ze skosu 10 cent. szerokiego, podszytego podszewką; na końce i kokardy paski koło 3 cent. szerokie, oszywają się z brzegów rulonikiem. Na ryc. 32 w miejsce berty, włożony jest kwadratowy kołnierzyk ze wstawek muślinowych i koronkowych. Pod szyją dodana muślinowa riusza.

N. 11—12. Vêtement z podwójną tuniką.

Krój w dodatku N. VIII, Fig. 35—39.

Tunikę tę dla tego nazwaliśmy podwójną, gdyż przy całkowitem vêtement, dodana jest jeszcze przy lewym boku, w dalszym ciągu część tuniki, zachodząca na prawą stronę, podpinająca puf i stanowiąca wielki zwierzchni ząb na tunice. Zmniejszony format fig. 35a—38a ułatwia dostatecznie zestawienie pojedynczych częśc. vêtement, wskazując znaczki na fałdy. Rycina 11 przed;-



N. 1. Suknia ze stanikiem pod szyję i tuniką. Patrz ryc. 4. Krój tuniki w dodatku N. IV. Fig. 20a—20c.

N. 2. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 5. Krój szalowego kołnierzyka w dodatku. N. V. Fig. 21.

N. 3. Ubranie chłopczyka od lat 4—7. Patrz ryc. 25 i ryc. 26—27. Krój kaftaniczka w dodatku N. XV. Fig. 64—68.

stawia vêtement otwarte z przodu, włożone do sukni gładkiej, przybranej materjałem w paski. Spódnica naszyta jest naprzemian czterema gładkiemi falbankami i czterema w paski, zachodzącemi trochę jedna na drugą. Vêtement oszyte jest także plisą w paski i ozdobione kamizelkowym kołnierzem; na rękawach dane szerokie wykłady z materjału w paski. Suknia na ryc. 12 ma naszyte cztery plisy, zakończone podwójną wypustką z jaśniejszego materjału; vêtement oszywa 5 cent. szeroka plisa, z szeroką wypustką. Szarfa boczna z materji jasnej jak wypustki, oszyta jest bogatą frendzlą.

N. 13. Frendzla z perełek na dubeltowym tiulu.

Robota frendzli jest bardzo łatwą i niewymagającą długiego objaśnienia. Drobny dżet świecący lub szlifowaną sieczkę, naszywa się na podstawie z podwójnie wziętego tiulu, nawłócząc na mocną nitkę jedwabną, potrzebną ilość perełek. Ząbki zachodzą przez połowę jedne na drugie, mijając się z sobą i tworzą jakby drobną odstającą łuskę. Górne zakończenie stanowią perełki naszyte skośnie po trzy wzdłuż.

N. 14. Koronka z wełnianych pikotów.

Na gazie lub podwójnym tiulu naszywają się w zęby fabrycznie tkane pikoty, przytwierdzone rzędem dżetowych perełek; w każdym zębie dana muszka z czterech perełek. Odpowiednio do potrzebnej szerokości zwiększa się liczba rzędów naszycia; można także powiększyć zęby i dodać w nich ozdobniejsze gwiazdki.

N. 15. Koronka z wełnianych pikotów, złożona z tych samych co poprzednio opisana, materjałów, różni się tylko układem deseniu.

N. 16—19. Dwie woalki tiulowe.

Ryciny 16 i 18 podają dwie, złożone woalki, z czarnego, jedwabnego tiulu, zakończone ozdobnemi szlakami. Środek woalki ścięty w końcach, śpiczasto jak na ryc. 18, lub skośno jak na ryc. 16, wymaga kawałka tiulu 32 cent. szerokiego, a 80 do 90 długiego. Ładne zakończenie brzegów, wskazane w naturalnej wielkości na ryc. 17 i 19 ozdabia się dżetem lub sznelką, odpowiednio do rzuciku danego na tle. Rycina 17 przedstawia szlak z kawałka tiulu 5 cent. szerokiego, zakładanego w płaskie fałdki, idące w odstępach, na których dane naszycie z muszek sznelowych; brzegiem idzie także rząd muszek. Szlak w zęby, podany na ryc. 19, również 5 cent. szeroki, zakładany jest w plisowane fałdy, przeszyte w odstępach dwoma rzędami ząbków z perełek; u dołu dane pikoty fabrycznie tkane. Połączenie szlaku z tłem woalki stanowi naszycie z pikotów i dżetu.



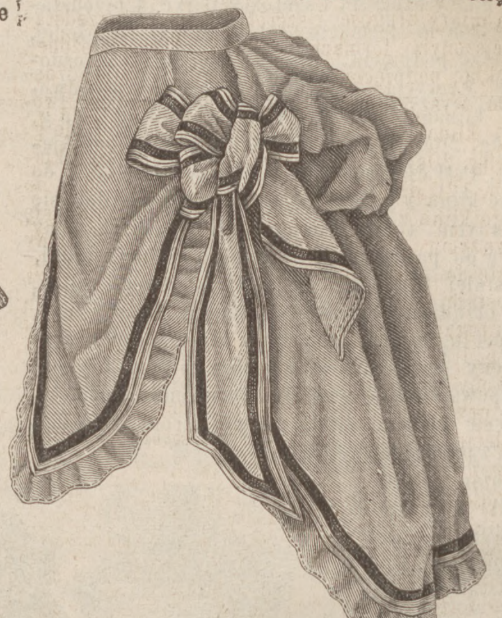
N. 4. Tunika zapinana z boku, do ryc. 1. Wskazanie kroju w dodatku N. IV, Fig. 20a—20c.



N. 5. Tunika z szerokiem wywinięciem. Patrz ryc. 2.



N. 7. Tunika otwarta z przodu. Wskazanie przyszycia tasiemek. Patrz ryc. 6.



N. 6. Tunika otwarta z przodu i podpięta z boku szarfą. Patrz ry. 7. Krój w dodatku N. XI, fig. 45a—45b.



N. 8—9. Sukienka z vêtement. Przód i plecy. Krój vêtement w N. 16 ryc. 4 i 5.

N. 20. Oszycie z wełnianej koronki, pasmanterii i plisy jedwabnej.



N. 11. Vêtement z podwójną tuniką. Patrz ryc. 12. Krój w dodatku N. VIII. Fig. 35—39.

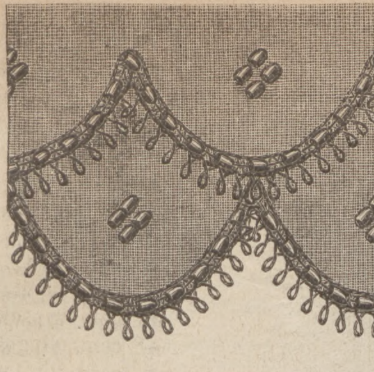


N. 10. Sukienka dla panienki od lat 8—11. Patrz także ryc. 31—32.

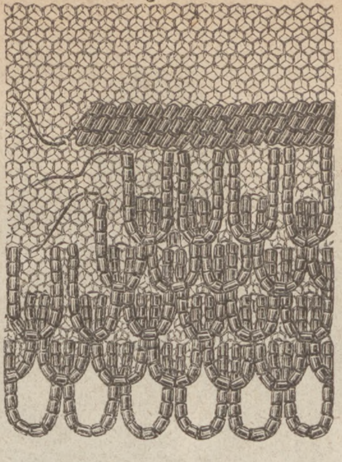


N. 12. Vêtement z podwójną tuniką. Przedstawione z prawego boku. Patrz ryc. 11.

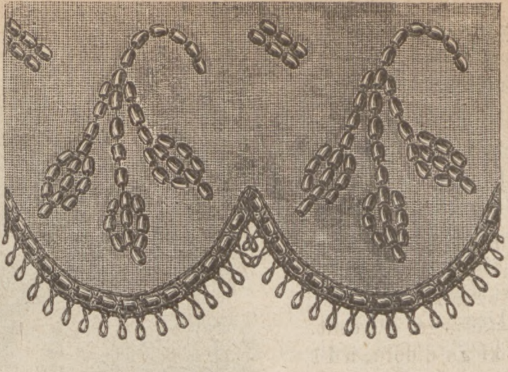
Rycina 20 podaje w połowie naturalnej wielkości bogate oszycie do mantyli, którą przedstawimy i opiszemy w numerze 19. Czarna wełniana koronka przyszyta jest jedwabną rypsową plisą, nad którą dana bogata jedwabna pasmanterja, przeszyta dżetem.



N. 14. Koronka z wełnianych pikotów z wyszyciem perełkami na tiulu podwójnym lub gazie. Do vêtement sukien, paletocików itp.



N. 13. Frendzla z perełek.



N. 15. Koronka z wełnianemi pikotami i wyszyciem z perełek na gazie lub tiulu. Do sukien, chustek itp.

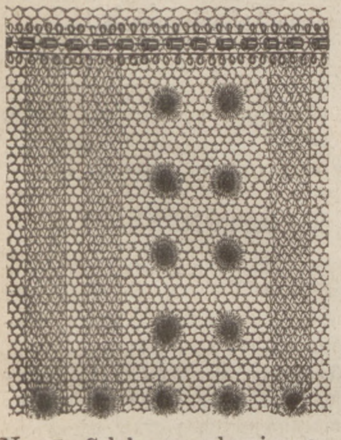
N. 21. Woreczek do robót.

Woreczek ten odpowiedni jest do przechowania roboty na drutach lub szydełkowej. Liczy 32 cent. długości a 25 cent. szerokości; można go uszyć z aksamitu, angielskiej skóry, atłasu lub t. p. Brzegi oszyte są frendzlą z kulek; do ściągania i związywania woreczka użyta wstążka, nawleczona w listewkę, daną u góry w około. Podszewkę stanowi fular, tybet lub żaknot francuzki.

N. 22 i 23. Poduszeczka na toaletę.

Deseń haftu w dodatku fig. 34.

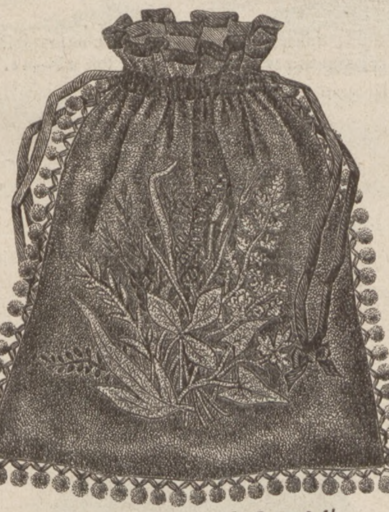
Poduszka mająca 45 cent. obwodu, a 9 cent. wysokości, w środku odszyta jest z gęstego płótna, wypchana trocinami a dla wypukłości dodana jest na wierzchu wata. Pokrycie stanowi popielata materja i sukno; środek poduszki zakrywa kwadrat 13 cent. długi, boki zagarnirowane falbankami. Górna i dolna falbanka z popielatej materji, wycięta jest w ząbeczki; środkowa sukienna wycięta w większe ząbki śpiczaste, nad któremi dany sznureczek złoty i ścieg sznureczkowy czarnym kordonkiem. Po za sznureczkiem idzie szlak z haftu atłaskowego, kolorowemi jedwabiami, który w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 23; środkowy bukiecik wyhaftowany jest złotą nitką i czarnym jedwabiem, również trójkąty w narożnikach i ramki z brzegów kwadratu.



N. 17. Szlak z muszkami sznelowemi do woalki ryc. 16.



N. 20. Oszycie z koronki wełnianej, pasmanterji z perełkami i plisy jedwabnej. Połowa wielkości naturalnej.



N. 21. Woreczek do robót.

N. 24. Kaftanik spacerowy dla trzechletniego dziecka.

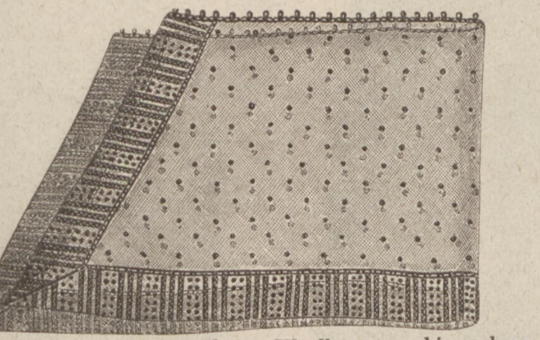
Krój w dodatku N. VII, fig. 28—32.
Opis w N. 19.

N. 25, 26 i 27. Opisy przy N. 3.

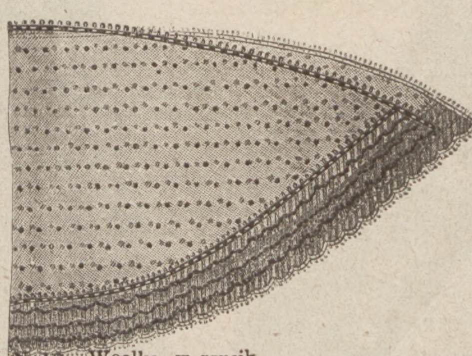
N. 28—29. Suknia z tuniką i stanik z napierśnikiem.

Krój w dodatku N. X, fig 42—44.

Tunikę, dopasować można podług zmniejszonego formatu fig. 7. zaokrąglając stosownie przód i boki. Szyzwając z tylnym brytem, przedni bryt tuniki zakłada się kilka fałdów, tak iż tylny bryt wystaje na 20—25 cent. dłużej. Tunika po zszyciu fałduje się i podpina podług ryc. 6, dodając patkę z boku. Stanik z baskiną ma przody dopasowane do zapięcia na bok, napierśnik tworzy się przez odznaczenie drugiego rzędu dziurek i przyszycie guzików. Suknia taka może stanowić jedną całość, można także tunikę i stanik nosić jako vêtement, do innej spódnicy. Najodpowiedniejsze przybranie stanowi pojedyncza lub podwójna wypustka, guziki stalowe lub szmuklerskie i parę razy przeszyta stębnówka. Ryciny 28 i 29 podają dwie różnie przybrane suknie i odmienne rękawy.



N. 16. Woalka w muszki sznelowe. Patrz ryc. 17.



N. 18. Woalka w rzueik z dżetu. Patrz ryc. 19.



N. 22. Poduszka na toaletę. Patrz ryc. 23. Deseń arabeski i kwadratu w dodatku, fig. 34—34a.

N. 30. Płaszczyk od deszczu.

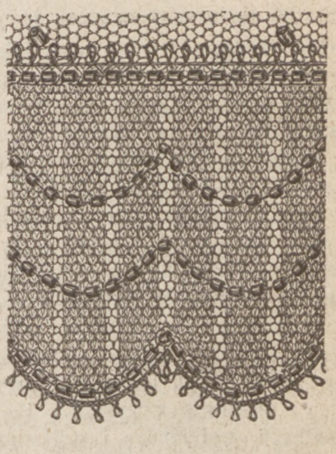
Płaszczyk ten ma formę długiego, puszczonego paletota z wązkiemi rękawami, powszechnie używaną od lat kilku, którą znajdą czytelniczki w przeszłorocznych Nrach Tygodnika. Zręczna pelerynа dopasowana jest zupełnie podług. Fig. 40 i 40a, z przodu zaokrągla się lub ścina śpiczasto podług upodobania. Na fig. 40a podającej krój do płaszczyka, jaki dopiero damy w Nrze 19tym odznaczona jest punkcikami linja, wskazująca przypuszczenie materjału na kontrafałdę przyciśniętą na pelerynie patką. Kapturek prostą, puszczoną formą, zmarszczony jest na sznur związany w kokardę z końcami.

N. 31—32. Opisy przy ryc. 10.

Opis do N. 19.

N. 1—6. Oszycia do sukien, kaftaników, vêtement itp.

Oszycia te składają się z plis z wypustkami, lub bez nich, z wyszycia perełkami, sutaszem, jedwabiem lub z połączenia dwóch odmiennych materjałów albo kolorów. Kilka rycin jakie dziś dołączam, wskazują sposób układania i naszywania plis.



N. 19. Szlak plisowany w ząbki wyszyte dżetem do woalki ryc. 18.

N. 7—10. Dwa parasoliki, ozdobione koronką z plecionki na tle tiulowem. Koronka odpowiednia do medaljonu podana jest w dodatku na fig. 33.

W poprzednich Nrach przedstawiliśmy już wzory i opis koronki wyszywanej na tiulu, dziś znów załączamy dwa rodzaje przykrycia parasolików. Rycina 8 przedstawia parasolik, ozdobiony z wierzchu medaljonami koronkowemi, z których jeden przedstawia ryc. 7. Medaljon taki odznaczony plecionecką koronkową i wywodzeniem na tiulu, odpowiedni jest także do krawatek muślinowych lub tiulowych, może również stanowić ładne zakończenie barbki na głowę. Parasolik ryc. 9 pokryty jest cały koronką i ozdobiony kokardą. Dla czytelniczek lubiących modę łączyć z oszczędnością, podajemy wzór całkowitego pokrycia, które można odrobić własnoręcznie, znakomicie mniejszym kosztem niż kupienie gotowej koronki. Rycina 10 podaje deseń szlaku pokrycia, wyszyty plecionką koronkową, zakończony fabrycznemi pikotami i ozdobiony różnemi sposobami wywodzenia na tiulu.

N. 11. Kokarda z rypsu jedwabnego i tiulu naszytego dżetem.

Na podstawie z kawałka sztywnego tiulu, 6 cent. długiego, ułożone są i przyszyte pukle i końce z różowego jedwabnego rypsu i białego tiulu. Tiul ozdobiony jest wyszyciem z dżetu i układany w kontrafałdy. Pukle złożone ze skośnego kawałka rypsu, zakończone obrąbkiem na prawą stronę;

końce są plisowane w fałdy, krają się prosto i wysiepują na 2 cent. u dołu. Środek kokardy zajmuje plisowany węzeł.

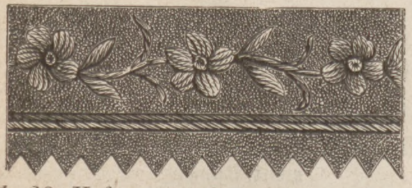
N. 12—13. Okrycie formą peleryny. Krój w dodatku N. IX, fig. 40—41a.

Dwie części dodane przy tylnym szwie peleryny, stanowią jakoby fałdowany karoczek. Każda z tych części wymaga kawałka skośnego, 30 cent. długiego, 32 szerokiego u dołu, a 11 w górze; po dodaniu przybrania brzegi każdej części, oddzielnie zszywają się z sobą, następnie górne wązkie końce fałdów przyszywają się tuż przy sobie, na mantyli, dodając na przyszyciu sutą kokardę z wstążki rypsowej 8 cent. szerokiej, a 30 długiej. Fig. 41 daje formę kołnierzyka, spuszczonego podłużnie z przodu. Wypustka przy kołnierzyku przyciska zarazem riuszę z podwójnie wziętej materji, w środku 4, w końcach po 2 cent. szeroką. Rycina 12 przedstawia okrycie z czarnego dubeltowego kaszmiru, przybrane 5 cent. szeroką plisą z atłasową wypustką. Po nad plisą dany szlak z sutaszu wełnianego i szlifowanych perełek, którego deseń przedstawia fig. 70, oprócz tego fig. 71 i 72 dostarczają dwa wzory do wyszycia sutaszem lub łańcuszkiem. Wełniana koronka 7 i 4 cent. szeroka otacza brzegi okrycia i kołnierzyka. Na ryc. 13, przedstawiającej plecy okrycia, widzimy w miejsce haftu, dwie plisy aksamitne, przedzielone koronkową wstawką 4 cent. szeroką, którą można odrobić własnoręcznie, podług fig. 69. Wzór na koronkę otaczającą brzegi podaje ryc. 47. Z pod kołnierzyka na plecach spuszczone, są trzy końce wstążki rypsowej, dwa końce liczą po 48 cent. długości, trzeci podpięty jest w pośrodku w pukiel. Zakończenie brzegów stanowi 6 cent. szeroka frendzla, odrobiona podług ryc. 13 w Nrze 18.

Dalszy ciąg nastąpi w N-rze 19.



N. 24. Kaftaniczek dla dziecka lat 3. Krój w dodatku N. VII, fig. 28—32.



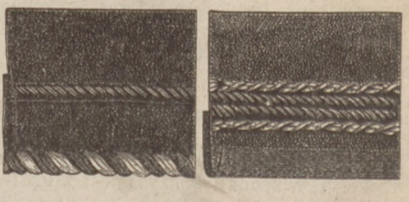
N. 23. Haftowany szlaczek do ryc 22.



N. 28—29. Suknia z tuniką i stanik z napierśnikiem. Krój stanika w dodatku N. X. fig. 42—44.



N. 25. Kaftaniczek dla chłopca. Przód patrz ryc. 3. Krój w dodatku N. XV fig. 64—68.



N. 26—27. Dwa oszycia brzegów do kaftanika ryc. 3.

KORESPONDENCJA.

Pani B. w Umaniu. Rs. 100 na sprawunki odebraliśmy, które niezwłocznie wyprawione zostaną.

Pani Malwinie O. w Wenecyi. Za list i przepisy kuchenne serdecznie dziękujemy, radzibyśmy tylko otrzymać jeszcze przepisy najsmaczniejszych potraw włoskich, które by figurować mogły w książce kucharskiej, mającej się wydać w roku przyszłym dla naszych prenumeratorek.

Tygodnik Mód wysyłamy do Wenecyi zawsze w Sobotę.



N. 31. Suknia ze stanikiem z baskiną dla dziewczynki od 8—11 lat. Patrz ryc. 32. Krój stanika w dodatku N. XIII, fig. 51—57.



N. 30. Płaszczyk z pelerynką i kapturkiem.



N. 32. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 31.